Nr. 46 (1142). Warszawa, 2 (15) Listopada 1902 r. **Rok XXII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

POLITYKA ŁAPÓWEK.

Mało chyba w historyi świata znajdzie się przykładów stronnictwa tak niedołężnego, jak stronnictwo galicyjskie, w wiedeńskiej Radzie państwa, zorganizowane w t. zw. Koło polskie. Najsilniejsza liczebnie gromadka ta w Babelu austryackim, mająca w sobie tylu praktyków politycznych, tyle jaśniejących ekscelencyj, chodzących cnót obywatelskich i geniuszów patentowanych w sąsiedztwie, nieobrana nawet z rzetelnego rozumu i zdolności w wybitniejszych jednostkach—rozmyślnie stara się jak najmniej znaczyć, jak najmniej działać i widocznie ambicyę swoją zakłada w swojej małości. Nie znać jej liczebnej i intelektualnej siły w chaosie przedlitawskim, nie widać jej tam, gdzie pożar wybucha, gdzie bój się toczy, gdzie rozstrzygają się walki i sprawy między narodowościami i stronnictwami wspólnego politycznego targowiska, przypominającego nieraz wspólne polityczne piekło. Nawet w sprawach swoistych, nawet w tych, w których chodzi tylko o obronę honoru, o odparcie napaści lub fałszywego oskarżenia, Koło polskie zachowuje dziwną nieczułość i pozwala obcym ujmować się za tymi, którzy w niem właśnie mają swoich naturalnych przedstawicieli, orędowników i obrońców. Koło tknięte jest jakby paraliżem, a w rzadkich wypadkach, w których zabierze się niby do czynu, sprawia wrażenie istoty cierpiącej na uwiąd starczy.

Najnierozumniejszy nawet człowiek musi sobie swój nierozum wyrozumować; niewątpliwie wyrozumowało sobie i Koło swoje niemądre niedołęstwo. Działają w niem najpierw pobudki ogólne, zasadnicze: chcieć jak najmniej, dążyć jak najbliżej, sprawować się jak najciszej, poczuwać się do wdzięczności dla cesarza, trzymać się rządu, odgrodzić się od demokratów i deklamacyj demokratycznych, upatrywać korzyści realne, a gdy same wpadną, chwytać je łapczywie. Typ wewnętrznej polityki galicyjskiej, znany pod nazwą stańczykostwa, powtarza się i w tej polityce wiedeńskiej Koła. Dużo jest w niem ludzi służących w straży pożarnej Szujskiego. „Ogień gaście, gaście ogień!“ — to hasło doprowadziło niewątpliwie do zgaszenia w sobie własnego ducha, a raczej nie pozwoliło rozpalić się duszy wspólnej, bez której wszelkie stronnictwo może być tylko kupą, arytmetyczną sumą, a nie polityczną zbiorowością. Oprócz zasady ogólnej jest jeszcze mnóstwo zasad szczególnych, które każdy tworzy sobie jak mu dogodniej: ten chce urzędu, tamten koszar, kolei lub kanału, dla którego mógłby się stać dobrodziejem-dostawcą; jeden marzy o stanowisku, drugi choćby o łaskawym uśmiechu. Wszyscy zapominają o tem, że polityka siłę tylko szanuje, z siłą tylko się liczy, siła tylko stoi. Z lekceważenia tego powstaje niemoc ogólna, brak wspólnej ożywiającej, do czynu gnającej myśli - żądzy. Umysły krytycznie patrzeć umiejące, spostrzegłszy kałużę, w której utknęły, czemprędzej się z niej wydobywają, jak to uczynił poseł Kozłowski.

Przy takiem ukształtowaniu się ciała przedstawienniczego Galicyi — secesyę rusińską pomijamy — nie może ono działać w polityce wewnętrznej Przedlitawii tak, jak mu nakazuje liczebna siła i sama tradycya dzierżonej przez lat wiele władzy w rządzie centralnym. W sprawach tej polityki Koło nie ma własnego programatu, nie ma też i samoistnego stanowiska: jest klapą bezpieczeństwa dla każdorazowego rządu. Ilekroć w gabinecie coś zatrzeszczy, zapowiadając zawalenie się, Koło polskie spieszy z pomocą, podpiera, łepi, pacykuje co może i jak umie. Wielkie dane do siły i znaczenia marnieją w takiem bezdusznem zaparciu się idei i celów czynnych, rzeczywiście politycznych. Samo położenie, same warunki bytu przeznaczały Kołu najpierw stanowisko przewodnie wobec wszystkich rzesz słowiańskich Austryi, a potem funkcyę rozjemcy stałego pomiędzy Czechami i Niemcami w Czechach i na Morawach. Dwoistemu temu powołaniu Koło sprzeniewierzyło się i w sprzeniewierstwie tem zabrnęło już tak, że nie powetuje nigdy straty, o którą je własna jego bezduszność przyprawiła. Strata o wiele mniejsza dla niego samego, niż dla kraju.

Ilekroć stosunki wewnętrzne w Przedlitawii zawichrzą się, Koło nie ma innej ambicyi, innego interesu, tylko ten, żeby w zamian za milczenie, bezwładność lub wpływ potrzebny rządowi do utrzymania się — wyciągnąć do niego rękę po łapówkę. Łapówka złączona jest niby zawsze z dobrem ekonomicznem kraju, idzie na pożytek, nie prywatny, ale publiczny; w każdym jednak razie łapówką być nie przestaje, bo jest zapłatą za nie-działanie, gdy właśnie działanie powinno być najpierwszym obowiązkiem. W tej chwili naprzykład Niemcy i Czesi mówią niedwuznacznie Körberowi, żeby się wyniósł, a oni potem się już z sobą porozumieją— co robi Koło? Oto za neutralność w walce zastrzega dla Galicyi drogi, dostawy, budowę koszar przez miejscowych przedsiebiorców, różne pożytki ekonomiczne, oraz delikatniejsze, odpowiadające już na dźwięk uczucia, jak wyrzucenie koszar z Wawelu. Taka poli-

tyka łapówek byłaby może w danym wypadku dobrą dla jakiejś drobnej mniejszości, dla Słoweńców, dla Istryjczyków, dla Włochów z Trentina lub Dalmacyi, ale jest wręcz przez marnowanie siły i stanowiska występną, gdy się jej stale trzyma stronnictwo z tak wielkiem powołaniem, jak Koło galicyjskie. Ono powinno być przewodniem w Austryi; na nie oglądać się, do niego się odwoływać, wpływowi jego ulegać powinny wszystkie inne stronnictwa. Wobec tego górnego ideału rzeczywistość jest strasznem trzęsawiskiem. Nowej idei potrzeba, nowych ludzi potrzeba — choćby jednego ale dzielnego człowieka, któryby innych za sobą pociągnął: marzenie z poematu. Nie zmieni się nic, tylko narosną całe góry zła, a łapówki kwitnąć będą po dawnemu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Niestrudzony w podróżach, cesarz Wilhelm dnia 8-go b. m. zawitał do Sandringham. Wyjeżdżając z Kiel, powitał po rosyjsku marynarzy rosyjskich. Zanim przybył do Edwarda VII, miał dziwacznie zuchowatą przemowę do swego pułku angielskiego. W Sandringham uczucia rodzinne zaprawiał polityką. Król urządził mu spotkanie niespodziewane z Chamberlainem. Rozmawiali z sobą kwadrans, który wystarczył cesarzowi na silne zganienie Bülowa za ostre słowo o ministrze. Fakt podany przez *Timesa* zasługuje na wiarę, a jest w stylu zarówno Wilhelma II, jak i jego kanclerza. Ktoby się o taką bagatelkę obrażał? Bülow dalej służyć będzie, bo Bulow jest dobrym sługą. Dzienniki angielskie z nadzwyczaj zaciętą trzeźwością powitały gościa. Cel polityczny podróży określają jako chęć handlowego opanowania Szanghaju i doliny Jang-tse-kiangu w zamian za Delagoa, którą prawie napewne Anglia wymogła na coraz głębiej w znikczemnienie zapadającej Portugalii. Cele rzeczywiste wyjdą na jaw później. Niestrudzony podróżnik myśli już teraz po za granicami Anglii o nowej podróży.

Zamek w Poznaniu jest już postanowiony, są nawet już rysunki, do których niezawodnie i cesarz coś wszechgenialną ręką swoją dorzuci. — Komisya kolonizacyjna ponabywała kilkanaście majątków i dwadzieścia kilka gospodarstw, prawie bez wyjątku polskich — wogóle 13,625 hektarów. Na Śląsku sądy skazały dziennikarza polskiego na półroczne więzienie za obrazę Towarzystwa młodzieży niemieckiej — czysty rozbój sądowy. Sądy zabawiają się w patryotyzm *ex officio*. — Bibliotekarzem Raczyńskich został Niemiec, Collman, wbrew ustawie nadawczej. Rodzina milczy. Czyby się zgodziła? Karol Raczyński, który dla złapania spadku przeszedł był na katolicyzm, a znowu dla zrobienia karyery dworskiej wrócił na protestantyzm — musi być z Collmanna zadowolony, ale co robią inni Raczyńscy, jeszcze uczciwi; gdzie się zawieruszył p. Edward Raczyński, który najgłośniej i najskuteczniej mógłby tu przemówić?

Projekt pomnożenia armii austro-węgierskiej przez zwiększenie corocznego zaciągu niepodoba się zwłaszcza Węgrom. Rząd chce podnieść pobór o 25,000 w linii (do 125,000). Ma i obrona krajowa (Landwehr) dostać pomnożenie o 14,000 z rekrutów rezerwy.

W Wiedniu szerzy się antysemityzm. Na wyborach do sejmu arcyksięstwa Unter Enns stronnictwo Luegera zdobyło w samym Wiedniu pięć mandatów, na prowincyi straciło trzy. Na 26 posłów sejmowych wiedeńskich 20 jest antysemitami. W Przedlitawii coraz weselej. D. 7 b. m. Bärnreither i Kramarz powiedzieli jasno Körberowi, że chcą się go pozbyć i potem się porozumieć. Körber ma za sobą Koło, któremu przyrzekł rozmaite dobrodziejstwa. W grudniu albo upadnie, albo rozwiąże Izbę. Ugoda znowu dostanie się pod § 14. Na Węgrzech Szell zachwiany.

Rząd angielski przeznaczył 3 mil. funtów st. dla Boerów za farmy, 2 mil. f. dla poszkodowanych wogóle na widowni, wojny głównie w Natalu i 3 mil. funtów na pożyczki. Izba już wydatek uchwaliła d. 5 b. m. Chamberlain oznajmił Izbie, że wojna z Boerami kosztowała 258 mil. f. st.— W Londynie odsłoniono pomnik na pamiątkę ukończenia wojny.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. odbywały się d. 4 b. m. wybory stanowe i ogólnie-państwowe. Do Izby reprezentantów wybrano około 200 republikanów, 180 demokratów i kilku samodzielnych. Demokraci rosną w siły.

Turcy oceniają liczbę powstańców w Bałkanach macedońskich na 3,000. Jeden z głównych przewódców, Zonczew v. Conczew, wypoczywa już w Bulgaryi, gdzie za dwukrotną ucieczkę z miejsca osadzenia, mają go osadzić po raz trzeci, — aby mógł po raz trzeci uciec. O zbiorowej „akcyi“ na podstawie art. XXIII Traktatu Berl., mimo hałaśliwego już otrąbienia jej, nic rzeczywiście w gabinetach nie słychać. Rosya i Austrya, które mają pierwsze słowo, wstrzymują się, aby od słów nie przyszło do czynów. Francya, Anglia, Niemcy — nie mając interesu, nie chcą sobie rozbijać głów o traktat, tak przecież jasny.

W Hiszpanii przesilenie. „Liberalny“ Sagasta ustępuje przed zachowawcami. Karliści myślą o wybuchu.

W Portugalii generałowie urządzić mają umyślne pronunciamento, aby wywołać poprawę w rządzie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Charakterystyka wyborów w Poznańskiem. — Rola ludu i „urodzonych“ przywódców społeczeństwa. — Agitacya partyj niemieckich — Związki chrześciańskie i zawodowe. — Szewcy poznańscy. — Centrowiec o bankructwie hakatyzmu.

Prowincyonalny komitet wyborczy na W. Ks. Poznańskie ogłosił już odezwę do komitetów powiatowych, a więc najwyższa władza wyborcza społeczeństwa poznańskiego dokonała aktu, od którego zwykle rozpoczyna się nad Wartą akcya wyborcza. Zobaczmy przy sposobności, jak się w Poznańskiem dotychczas przeprowadzało wybory.

Odbywało się to w następujący sposób: Skoro po upływie pięcioletniej kadencyi parlamentu lub sejmu pruskiego w *Reichs-*

Janina Baudouin de Courtenay.

ŚLUBY.

(Z dalekich ech).

Eia dulcis anima, eia dulcis rosa,
Lilium convallium, gemma pretiosa,
Cui carnis foeditas exstitit exosa
Felix tuus exitus morsque pretiosa!
S. Bonaventura.

I.

Spływają z góry białoróżową girlandą rozkoszne kupidynki, z pączkami wydętymi policzków, w chmurkach przezroczych skrzydełek, splecione pulchnemi ramiączkami, figarne i roześmiane.... Gonią się, popychają, spadają, znów ulatują wysoko. Amorki! Wolne amorki! Całe najeżone złotemi strzałami promieni. I gdzieś, zda się, strzałami temi mierzą, i godzą w kogoś... Ach... bo tam opodal.. jakiś cudny kształt kobiecy!.. zarys helleńskiej bogini... zmieszane barwy złotego węzła warkoczy, śnieżnego łona, różanych ramion...

O zgrozo! zgrozo! Wszak to igrają tylko zorze wieczorne z lotnymi obłoczkami. A jeśli grzeszne oko dostrzega w nich jakieś wizye przecudne, to raczej mkną po niebiesiech anielskie cienie niemowląt zmarłych, duszyczki niewiniątek unoszą się promienną gloryą po nad królewskiem czołem Pana...

Zawstydzony, bolesny wzrok Fra-Angela spuszcza się na dół, ku jasnym, bujnym kędziorom drzew, z wplecionemi w nie girlandami różanego kwiecia. Blado-zielone latorośle winne zbiegają pędami od muru klasztornego do samej rzeki, nastroszywszy skrzydełka z drżącego, młodocianego liścia. Tam, między niemi, pomyka wązka ścieżyna, migocąca od złotych strzał słonecznych, od cieni chwiejących się gałązek. Szlak ten mozajkowy prowadzi ku bystrym nurtom, pachnącym chłodną świeżością czystych wód. Swawolny podmuch wietrzyków z dalekich gór drażni wargi lekkiemi pocałunkami. A tam, w tych górach, biało rzeźbionych na północy, jeszcze nie roztopiły się w dyamentowe warkocze potoków zębate śnieżne korony — i niebotycznie się wznoszą w siedmiu kolorach tęcz wschodów i zachodów. Chłodne oddechy gór!.. Spijać te wiatry chciwą piersią, zatapiać się spragnionem ciałem w rozkosznych nurtach rzek, rozbijać młodą piersią te fale złoto-szafirowe — płynąć bez końca szlakiem szerokim — w szeroki ten, majowy przepiękny świat!...

I znów się przymykają źrenice, lęku i wstydu pełne, dłonie imają się kurczowo twardego muru, stopy nogom uderzają w miękką murawę, cała postać młodego mnicha wstrząsa się i chwieje... Angelo rzuca się na wonną trawę i twarz w niej kryje, i czoło tuli namiętnie do łona ziemi. Wezbrany potok życia to podnosi go na swych falach, to ciska nim gwałtownie o pierś tej ziemi macierzyńskiej, jakby chorego w okropnych kurczach. Nareszcie straszliwe łkanie torturowanej młodości wybucha z jego piersi — i dzikim, fałszywym zgrzytem urąga boskiej wiośnie.

Bo oto Fra-Angelo staje się wielkim grzesznikiem; bo Fra-Angelo, jeśli nie wejrzy nań łaskawie Madonna, Pani klasztoru i nie ochroni go od sideł złego ducha, nie będzie mocen rozerwać ich i nie wróci na ścieżkę prawdziwej światłości.

Wstaje, słaniając się, ze zwartą jeszcze źrenicą, z twarzą białą, jak płatek, złamany boleścią i wstydem. Więc znowu blaski światła, którymi gardzić powinien, których spostrzegać mu nie wolno, czarują go djabelskiemi ponęty, pogańskiem pięknem swojem! Myśl jego rozmarzona przepełnia się ziemskiemi pregnieniami, jak gdyby w jego piersi jakiś potężny, wiosenny kwiat dojrzewał i łono mu rozsadzał...

Świat pełen jest mocy szatańskiej, choć twórcą jego Bóg! Ze Stworzyciela swego bosko-piękny, a z pokus swych szatańsko-zgubny! O gdyby go na zawsze ciemne mgły przysłoniły! gdyby jakaś larwa olbrzymia przyćmiła jego pogańsko-piękne oblicze!.. Otwarłyby się wtedy szeroko źrenice duszy na wzniosłe czary królestwa niebieskiego, stokroć cudniejsze i wyższe — i wzniósłby się rychlej ku niemu, litośnie myśląc o ziemi.

i *Staatsanzeigerze* rozpisane zostaną nowe wybory, zbiera się prowincyonalny komitet wyborczy i ogłasza krótką odezwę, polecającą komitetom powiatowym zwołanie do pewnego, ściśle określonego terminu walnego zebrania wyborców. Zaczynają się więc odbywać zebrania powiatowe, których powinno być 40, tyle, ile jest powiatów w w Księstwie. Prezes komitetu ogłasza w gazetach poznańskich, że tego a tego dnia odbędzie się walne zebranie wyborcze danego powiatu, ale nie należy sądzić, że szersze masy ludowo posiadają jakiś poważniejszy wpływ na wybór kandydatów. Bynajmniej. Do komitetu wyborczego należą przedewszystkiem właściciele większej posiadłości ziemskiej, następnie księża i kilku przedstawicieli inteligencyi miejskiej. Obywatele i księża zwożą fornalkami do miasta powiatowego przedstawicieli włościaństwa, naturalnie zupełnie sobie oddanych — „dojrzałych“ — i tu na zebraniu bez żadnej opozycyi przechodzi lista kandydatów, zawczasu już uchwalona na poufnem zebraniu w powiecie wodzących rej obywateli i księży. Chłopi więc odgrywają rolę zwykłych statystów, o żadnej samodzielnej roli nie marzą i swymi głosami zatwierdzają tendencyjnie panowanie polityczne „urodzonych“ przywódców społeczeństwa.

O składaniu przez kandydata na posła jakiegoś wyznania wiary w Poznańskiem prawie niema mowy. Wyjątkowo tylko — i to jedynie w tych okręgach, gdzie ludność miejska posiada wpływy znaczniejsze — kandydat czasami wypowiada garść frazesów. Najczęściej jednak wyborcy ani przed wyborami, ani po nich nie widzą swego wybrańca. Zresztą i poco? Wszak mianowany przez braci szlachtę kandydat z jej grona nie może mieć innych poglądów ekonomiczny i politycznych, jak to grono, które go mianuje. Zresztą, gdyby nawet posiadał zapatrywania niezupełnie zgadzające się z opinią „urodzonych“ przywódców narodu, to i w takim wypadku nie mógłby wskutek wiążącej Koło solidarności głosować inaczej, niż jego większość. W tych warunkach wszelkie wyznanie wiary jest najzupełniej obojętne, a wobec tych wyborców z ludu, który pomału przychodzą do świadomości społecznej, raczej szkodliwe. Po takiem zebraniu powiatowem, na którem zwykle wybiera się trzech kandydatów na posłów, komitet przesyła ich nazwiska wraz z protokółem zebrania prowincyonalnemu komitetowi wyborczemu. Ten ostatni bada, czy nie zaszły jakie nieformalności, a jeżeli ich nie było, przedstawia listy kandydatów walnemu zebraniu delegatów W. Ks. Poznańskiego. To walne zebranie jest wraz z prowincyonalnym komitetem władzą decydującą. W ten sposób, gdyby na zebraniu powiatowem prześliznął się jakimś sposobem kandydat, dla szlachty niemiły, większość zawsze potrafi go odrzucić.

Ma się rozumieć, że przy takim systemie wybierania kandydatów szlachta może być najzupełniej pewną, że reprezentacya kraju pozostanie w jej ręku na bardzo jeszcze długo. Ogół bowiem wyborców Poznańskiego, zwłaszcza chłopi, stanowiący bezwzględną większość, jest materyałem jeszcze surowym. Uświadomieni pod względem narodowościowym, nie posiadają przygotowania polityczno-społecznego i biernie znoszą przewagę polityczną szlachty. O takim chociażby ruchu ludowym, jaki istnieje w Galicyi, niema nad Wartą mowy. Nawet sprawa ceł zbożowych i głosowanie Koła na komendę junkrów, wbrew interesom milionowej rzeszy ludu polskiego, nie poruszyły umysłów włościaństwa w Poznańskiem, choć wywołały jednogłośne potępienie ze strony ludu Prus Zachodnich. Tłomaczy się to nietylko faktem, że położenie ekonomiczne ludności w Prusach Zachodnich jest inne, niż w Poznańskiem, ale głównie tem, że w pierwszej z tych prowincyj wielka polska posiadłość ziemska jest już bardzo przetrzebiona i gazety ludowe (*Grudziądzka*, *Toruńska*, *Gdańska*), jakkolwiek oglądają się jeszcze na szlachtę, to jednak mogą już łatwiej przemawiać w imię interesów mas chłopskich. W Poznańskiem szlachta wciąż jeszcze jest żywiołem panującym, a prasy ludowej wcale niema.

Partya *Orędownika*, występująca jako stronnictwo „ruchu ludowego,“ nie posiada po wsiach żadnego znaczenia. Jej wpływ ogranicza się do części drobnomieszczaństwa w samym Poznaniu. Pewien wpływ na lud wiejski poczynają uzyskiwać zwolennicy *Gazety Robotniczej* na Kujawach, zwłaszcza w okolicach Inowrocławia. Dzięki kilku energicznym jednostkom, skupiającym się przy inowrocławskiem Towarzystwie samokształcenia, wśród ludu kujawskiego szerzą się w znacznej liczbie wydawnictwa, otwierające mu oczy na rzeczywisty stan rzeczy w kraju. Na zgromadzenia publiczne w Inowrocławiu, zwoływane przez pp. Podemskiego i Wierzbińskiego, schodzą się setki włościan, którzy razem z miejscowymi robotnikami uchwalają rezolucye przeciwko egoistycznej polityce Koła.

Że niezadowolenie poczyna coraz bardziej nurtować masy polskie, rozumieją to różne partye niemieckie. Stąd pochodzą usiłowania zdobycia tych mas przez agitatorów, przysyłanych do Poznania z Niemiec. Mówiliśmy już o działalności związków zawodowych, kierowanych przez Niemca Gogowsky'ego. Obecnie i centrowcy niemieccy wytężają swe siły, aby pozyskać robotników poznańskich dla swej organizacyi zawodowej. Oto na Wildzie, w sali p. Jeczkowskiego, odbyło się zebranie, zwołane przez „Zarząd zjednoczonych związków chrześciańskich.“ Zebrało się pareset robotników, w olbrzymiej większości Polaków, a jednak rozprawy toczyły się po niemiecku.

Pierwszym referentem był delegat niemiecko-chrześciańskiego związku, Burgscheidt z Kolonii, starający się przekonać zebranych, że najlepszą obronę robotnika daje właśnie Związek chrześciański, istniejący od lat sześciu i liczący już 175,000 członków. Mówił też dużo o potrzebie oświaty, czytaniu książek i pism zawodowych, naturalnie niemieckich, w końcu zaś oświadczył, że jego związek daleko więcej może zdziałać dla robotników od związku Gogowsky'ego, ponieważ jest „lepiej zapisany w rządzie.“ Po nim w tym samym duchu przemawiał drugi delegat Związku chrześciańskiego — Jacobi z Berlina. Po nich zabrali głos przedstawiciele związków, kierowanych w Poznaniu przez Gogowsky'ego: Wons, Matuszewski, Gogowsky i Karabasz. Z wyjątkiem tego ostatniego wszyscy mówili po niemiecku, a publiczność polska, nie rozumiejąc dobrze, o co

---

Nagle okrzyk niewysłowionej rozpaczy krwawi powietrze, Angelo pada na klęczki, jak pod ciosem piorunu. Jego wielkie oczy szeroko się roztwierają, błyszczące, piękne, młode, jak maj ten młodociany, przed chwilą jeszcze chciwe, jak u orlęcia, a teraz sztywne i przerażone... Czy groźne oblicze Pana, dyszące gromem i klątwą, wśród jasnych niebios ujrzały?..

Oto usłyszał on w swem sercu okrutny rozkaz gromowładczego Jehowy. Spadł nań z perłowych obłoków, z roszczebiotanych lazurów, jak wielki kruk czarny — i rozdarł serce jego, i wzrok śmiertelnie poraził.

Z pokorą zgonu cichego przyjął ten rozkaz, a taką była wola, z góry mu objawiona.

— Zasłoń sam przed sobą świat ten kuszący mrokiem oślepłych źrenic! Zamknij, żądne zmysłowych upojeń, oczy twoje w strasznym grobowcu zwartych na zawsze powiek! I bądź jak nieboszczyk w kwiecie życia, do lepszych zachwytów dążący!

Pojął Angelo rozkaz ten bezprzykładny, straszliwy — i w proch uderzył głową. Uczuł zgon w duszy swojej — i zdało mu się, że śmierć całego ciała niczem by mu teraz była, kiedy miał grzebać oczy swoje. A więc jedyna to, prawdziwa, najcięższa może, lecz i najmilsza ofiara dla Króla niebios, który własnemu Synowi mąk nie oszczędził.

Tak rozpostartym w prochu długo pozostał, a cała postać jego wiła się w bólach rozpaczy. A kiedy powstał nareszcie, wyciągał trzęsące się ręce do najsroższej męki samego Syna Bożego.

Nigdy, nigdy nie spojrzeć!? Wtrącić się w wieczne cienie... a tam, za tą cieniuchną błoną powieki — cuda! boskie czy szatańskie cuda! Czy po to tylko Stwórca uczynił świat tak pięknym, by człowiek, mocując się z nim, zwyciężał go w końcu z archanielskim tryumfem? Czy też szatan-niszczyciel tchnął w niego urok zwodniczy, w celu omamienia człowieka?

I drżący wciąż bożym rozkazem, jak pod dotknięciem płomiennego miecza, począł się rozglądać w koło Angelo, wchłaniając wzrokiem pełnym nienasyconej miłości i bezmiernej rozpaczy krasę niebios i ziemi, które już rychło zniknąć dlań miały na zawsze.

Wtem znak wyraźny łaski bożej spłynął nań z góry. Nieznany gołąb biały, nie z tych klasztornych gołębi, które mu całowały twarz bladą i na ramionach gruchały, lecz jakiś obcy, dziwnie promienny w złotych strzałach zachodzącego słońca, spłynął nad czoło jego wprost z lazuru i rozpostarł nad nim swe skrzydła; a zanim młody samotnik zdążył oswoić się z jego widokiem, znikł w szafirowych przestworach. Więc też radość niebiańska w serce Angela frunęła — i gotów już był iść na męczeństwo, jak ci wybrańcy, którzy szli przed wiekami na rozkaz ziemskich cezarów.

II.

W stalach, rzeźbionych przez samych aniołów w jedną z pradawnych nocy Bożego Narodzenia, o czem świadczy sam błogosławiony Guido, kronikarz gminy, zasiedli dnia tego najzgrzybialsi nawet ojcowie i bracia, którzy oddawna już z celi swych stóp drżących dźwigać nie mogli. Świątynię całą przepełnił tłum nabożny, — jeden z najmłodszych bowiem i najświątobliwszych braci śluby dnia tego gotował się składać. Ofiara zaś jego tak wielką i podniosłą być miała, iż okrywała nową chwałą klasztor Świętego Urbana i, zdaniem mężów najgodniejszych, za pokutę całego grzesznego kraju starczyła. To też z wdzięcznością i uwielbieniem spoczywał wzrok rozmodlonych na czystem białem czole nowicyusza, chylącem się ku ziemi, i na tych oczach niewinnych, pod których promieniami, jak sobie szeptano, lilie nagle się rozwijały, chore ptaszęta ulatywały na uzdrowionych skrzydełkach, a które zamknąć się miały od dnia owego na wieki.

Msza święta zbliża się ku końcowi i oto nadchodzi straszliwa chwila ślubowania. Organy rozełkane milkną powoli, jak chór odlatujących aniołów. Angelo powstaje z klęczek i wznosi wzrok swój błyszczący a pewny ku przeczystemu licu Madonny, jak rycerz, godny królewskiej Damy swojej. Wzrokiem tym żegna po raz ostatni cudowny obraz, perłę klasztoru i grodu, i krainy całej. A gdy odrywa go z trudnością i postępuje ku ołtarzowi, kędy go

mówcom chodzi, klaskała i jednym i drugim.

Na innem zebraniu związku chrześcijańskiego, na Ratajach, przemawiał ten sam delegat koloński, a jego przemówienie miał przełożyć na język polski p. Zielonacki, który, jak się p kazało, wcale prelegenta nie zrozumiał. Kiedy zabrał głos jeden z gości, p. Nowicki, i spytał, czy jest pomiędzy zebranym choć jeden Niemiec, otrzymał odpowiedź, że ani jednego. Zwrócił się przeto do zarządu, zarzucając mu endencye germanizacyjne. Na to powstał ogromny hałas pomiędzy członkami związku, poczem p. Nowickiemu odebrano głos z zaznaczeniem, że nikt z gości głosu nie otrzyma. Goście więc opuścili salę, wśród wymyślań członków związku.

Swoją drogą po takich zebraniach garść robotników polskich zapisuje się do związków chrześcijańskich. Robotnicy polscy, jeszcze mało uświadomieni pod względem polityczno-narodowym, widząc, że organizacya niemiecka troszczy się o ich byt ekonomiczny, pomału wsiąkają do niej i stopniowo się w niej niemczą. A niebezpieczeństwa tego niepodobna lekceważyć. W niektórych okolicach Prus Zachodnich i na Śląsku owe centrowe „Arbeiter- i Volksvereiny“ przyciągnęły do siebie już znaczną liczbę robotników polskich, a księża, stojący na ich czele, rozwijają bardzo energiczną działalność germanizatorską, wszelkie zaś odezwanie się Polaków jako żywiołu odrębnego, jest tłumione z całą zapamiętałością. Jeśli dodamy do tego, że i ta pomoc ekonomiczna, jakiej mogą dostarczyć robotnikom polskim związki włościańskie, jest bardziej niż wątpliwa, to zrozumiemy, dlaczego są one dla naszej ludności robotniczej podwójnie szkodliwe.

Inaczej rzecz się ma ze związkami zawodowymi, kierowanymi przez komisyę centralną w Hamburgu. Przynoszą one swym członkom, dzięki swej potędze, niezaprzeczalną korzyść na polu ekonomicznem, i dlatego nic nie powstrzyma robotników polskich od przystępowania do nich. Z drugiej strony, jakkolwiek w prowincyach polskich na czele tych związków stoją socyal-hakatyści — w Poznaniu Gogowsky, a na Śląsku dr. A. Winter — ten, jak go świeżo nazwał *Kölnische Zeitung*, mąż bardzo zasłużony dla sprawy niemieckiej — to jednak tam, gdzie robotnicy polscy posiadają rozwinięte poczucie godności osobistej, jest rada i na wybryki socyal-hakatystów— w tworzeniu *czysto polskich* filij zarządów zawodowych. Jakkolwiek taki Winter zwalczał i zwalcza wszelką myśl wyodrębnienia się robotników polskich, to jednak zdrowy instynkt tych ostatnich poczyna zwyciężać. Oto np. w Poznaniu szewcy założyli czysto polską filię, o której zadaniu tak piszą w poznańskiej *Gazecie Ludowej*: „My, szewcy polscy, własnego narodowego związku utrzymać nie jesteśmy w stanie, powinniśmy być więc członkami „Verbandu“ niemieckiego. Żeby jednak nie być tylko kopciuszkiem, słuchać tylko rozkazów, a nie mieć nic do mówienia, koniecznem jest w każdej miejscowości, gdzie nas jest większa liczba, zorganizować związek, czyli samodzielną filię szewców. Filia powinna odbywać zebrania towarzyskie w swoim języku i kształcić swoich członków we wszelkich sprawach. To jest jedyny środek przeciw naszej zgubie. Nasza narodowość wiele na tem zyska, bo nie będziemy potrzebowali wynosić się na obczyznę oraz w samodzielnych filiach polskich możemy utrzymać nasze pisma polskie, przez co nasza literatura i oświata się podniesie.“ Pierwszy więc krok zrobiony. Za przykładem szewców pójdą zapewne i inne zawody, w pierwszym zaś rzędzie górnicy śląscy, posiadający wszelkie warunki po temu.

Z powodzi artykułów, pism ulotnych i broszur, poświęconych Polakom w Prusach, a posiadających charakter hakatystyczny, wyróżnia się broszura znanego posła centrowego, p. Roerena, który zresztą w swojem stronnictwie należy do białych kruków. Autor broszury potępia w sposób jak najbardziej stanowczy dzisiejszy system pruski względem Polaków, jako niesprawiedliwy ze stanowiska narodowościowego i prawnopaństwowego, a nierozsądny pod względem politycznym. Rozważa on wszystkie wypadki ostatniej doby, jak sprawę wrzesińską, proces gimnazistów w Toruniu, charakteryzuje działalność komisyi kolonizacyjnej i dowodzi, że szykany i prześladowania rządu pruskiego i hakatyzmu wyszły tylko na korzyść żywiołowi polskiemu, jednocześnie ośmieszając i kompromitując Prusy wobec Europy. W jednym z rozdziałów swej pracy p. Roeren pisze o „bankructwie obecnego systemu“ i w ten sposób wypowiada swe zdanie: „Żaden człowiek nie zechce dowodzić, że wszystkie te środki germanizacyjne zniemczyły chociażby jednego Polaka. Obite dzieci wrzesińskie, na które zebrano 200 tysięcy marek, zostały męczennikami, ale ani baty, ani przymus uczęszczania do szkoły przed 14 rokiem życia nie pozyskały ich dla niemieckości, owszem rozgoryczenie będzie z biegiem lat przybierało i zwiększało opór... Mylą się grubo, którzy sądzą, że skazanych i wydalonych z gimnazyum uczniów ujrzą kiedyś w obozie niemieckim... Znoszenie adresów polskich na listach, nakładanie kar pieniężnych za używanie polskich liter w imionach nie zniemczyło także żadnego Polaka. Takimi środkami można jedynie naród drażnić, ale nie upokarzać... Kolonizacya nie zaszkodzi także Polakom, przynajmniej niepodobna spostrzedz jakiegokolwiek skutku w kierunku narodowo - niemieckim z powodu przesiedlenia kilku tysięcy kolonistów w Poznańskie i do Prus Zachodnich. Sądząc rzecz po ludzku, można nawet przypuścić, że ci koloniści niemieccy powoli się spolonizują, a kto, jeśli nie Polacy, ciągną większe korzyści ze 144,000,000 marek, wydanych dotąd na kolonizacyę.“ Cała polityka antypolska nie przyniosła Niemcom żadnych korzyści, a jednocześnie wytworzyła dla nich nieznane poprzednio niebezpieczeństwo w polityce zagranicznej.

Pośrednik.

Nasi argonauci.

(Dokończenie).

Owiele większe znaczenie ma zobojętnienie dla spraw krajowych tych niefortunnych najczęściej poszukiwaczy złota, zaniedbanie przez nich języka i zwyczaju ojczystego, często nawet zupełne wynarodowienie się. Zdarzało mi się spotykać tu domy polskie, gdzie dzieci

---

czeka biskup z krzyżem wysoko wzniesionym, staje na chwilę, jak wryty...

— Przebóg! To ziemia Apollina i Afrodyty cały swój urok przedwieczny w dziewiczą tę postać zaklęła! Złoto swojego słońca — w jej warkocze, swe jasne róże — w jej lica, blaski mórz swoich — w mieniące się jej oczy, kraśne korale — w ust pączek, błękity niebios — w jej szaty powiewne!

Wielkiemi łzami w płonących żalem źrenicach, wyciągniętemi błagalnie ramionami, wabi go, wabi ku sobie!.. Nieledwie słyszy słowa, zamierające na jej ustach:

— O zostań! Nie umieraj! żyj dla mnie! dla mnie....

Lecz Fra-Angelo okrył się nienaprożno zbroją niebieską. Strzały piekielne łamią się na niej, jak słomki w ręku olbrzyma. Zwycięzki uśmiech zawisa na dumnych jego ustach, srogie źrenice ślą dumną odpowiedź korzącej wzgardy.

Głośny, dźwięczny jak srebro porannego dzwonu brzmi głos skazańca.

— Przysięgam Ci, wielki Boże, iż oto przykryję całunem powiek grzeszne oczy moje na pozostałe dni żywota ziemskiego, gdyż zawiniły one zbyt srodze, spijając chciwie piękności znikomego świata. Niech one, uśmiercone na ziemi, zmartwychpowstaną łaską Twoją w niebiesiech, by piękność królestwa Twego, o Panie, sławić i podziwiać mogły!. Amen.

Sam biskup paduański, czcigodny Gualbert, przyjmował w dziwnem rozrzewnieniu nigdy niesłyszane śluby, a oczy wiernych, łez pełne, i modły łkaniem targane, zwracały się ku nowemu męczennikowi. On zaś jaśniał, jak monstrancya promienista, w tęczowych płomieniach słońca, całującego Sakrament przez wielkie szkła kolorowe.

Wreszcie przepiękne źrenice ofiarne zatoczyły raz jeszcze wielki krąg wśród zgromadzenia — i spadły na nie wolno powieki, jak ciężki głaz grobowy, a czarne, długie rzęsy zakreśliły pod niemi szlak żałoby.

Świątynia drgnęła od jęków tłumu, jeden straszny jęk niewieści wybił się po nad wszystkie... Potem zaś cisza cmentarna zaległa przybytek Pański.

Podniósł się z klęczek Angelo — i, otoczony bracią, skierował kroki niepewne ku celi swojej. Więc niezliczone ramiona wyciągnęły się do wybrańca, by dostąpić zaszczytu prowadzenia ociemniałego. Lecz dostojny biskup Gualbert z przeorem, ojcem Celestynem, wszystkich od niego usunąwszy, starczemi swemi ramiony z czcią przynależną, wsparli młodego męczennika. Więc, jak za trumną żałobną tłum ludu łzy przelewając, podążał zwolna za nimi. Na progu celi Fra-Angelo wielebny ojciec Celestyn na czystem sercu jego żarliwe złożył ucałowanie.

III.

— Ustąpcie, messirowie! to ona Donna Amata!

— Więc nie ustąpić, lecz skupić się musimy!

— Wychodzi ze świątyni, wsparta na ręku starego dworzanina, blada i drżąca, jak biała lilia, rozkołysana od wichru...

— Na Boga! Co się z nią stało?!.. Jej ciemne oczy stanęły nieruchomie, jakby wpatrzone w złe straszydło nocne, a wielkie łzy leżą na długich rzęsach, jak szron zimowy.

— Czy to przejęcie się nabożne dzisiejszą ofiarą?.. Wzrok tej królowej lśnił dotąd tylko dumą i szczęściem.

— Ostatnia latorośl rodu Monte-Lunów, odwiecznych dobrodziejów klasztoru — odczuwa widać, mocniej, niż inni, wielkość i chwałę uroczystości dzisiejszej. Klasztor św. Urbana rozciąga nad Amatą opiekę, jak nad dziecięciem swem najmilszem...

— Obyż choć w cząstce tak rozlazwiły jej serce równianki serc zranionych, po których depce bez żalu...

— O bóstwo ty wszechwładne! O perło ziem italskich, sławiona nawet przez minstrelów północy, przez trubadurów francuskich, przez słodkich piewców Prowancyi!. Jesteś, naprawdę perłą ze szronu wpośród płomieni hołdów naszych rycerskich.

Rozstępuje się przed nią pyszny tłum patrycyuszów i ściga ją upartym wzrokiem.

— Nie tłoczcie się, rycerze! . Wasze żebrzące wejrzenia, wasz pokłon niewolniczy — do kolumn chyba zimnych zwracacie!...

(C. d. n.)

umiały po kilka zaledwie wyrazów w języku ojczystym. Na wyrażoną przeze mnie uwagę, rodzice odpowiadali z zadziwiającym iście spokojem: „Cóż robić; służba nie mówi po polsku, na sprowadzenie zaś bony Polki nie stać nas. Zresztą, niema nad czem szat rozdzierać: wrócimy do kraju, to się dzieciaki prędko mówić po polsku nauczą.“

Wogóle pozostawienie dzieci na wyłącznej opiece sług i nianiek jest zdrożnem, postępowanie podobne równa się niemal zbrodni moralnej. Rodzice tacy nie rozumieją chyba, jak wielką biorą na siebie odpowiedzialność, jak ciężką jest ich wina względem dzieci.

Lecz ludzie ci, zajęci i przejęci głównym celem przyjazdu swego na Syberyę — myślą o jak najprędszem zebraniu wymarzonych kapitałów — nie mają czasu i chęci zwracać uwagi na podobne drobnostki. To też, wobec zupełnej niedbałości o czystość języka, takie kwiateczki, jak „ożenił się *na* Sybiraczce,“ „postawię *pamiętnik* a mogile matki,“ „przyjdzie *przez* dwie godziny“ itd. itd. nikogo tu nie rażą.

A tak łatwo przecież przy przestrzeganiu czystości mowy w domu i głośnem czytaniu zachować czystość języka, nie obcując nawet z Polakami. Przypomniało mi to jednego z emigrantów naszych w Paryżu. Nie mając przez lat kilkanaście żadnych stosunków z Polakami, spotkał on po upływie długiego przeciągu czasu jednego z rodaków swych i zadziwił go prześliczną swą mową polską. Na zapytanie, w jaki sposób, nie mając styczności z ziomkami, zdołał język swój w takiej nieskazitelności zachować, starzec odpowiedział skromnie: „Czytywałem głośno po polsku po parę godzin dziennie.“ Zdanie to powinniby sobie utrwalić w pamięci i w sercach wszyscy Polacy, opuszczający na czas dłuższy kraj swój z tych albo innych powodów.

Prenumerowanie pism i gazet polskich uważane też jest przez większość Polaków tutejszych nie za obowiązek, lecz za zbytek. Leży tam sobie gdzieś skromniutko w kąciku jakiś tygodniczek lub gazetka, i na tem koniec najczęściej. „I cóż nas to może obchodzić, że tam w Warszawie taki a taki pan wygłosił odczyt, lub że dają w Wielkim „Halkę“ albo „Manru.“ Tak jesteśmy daleko, że nas to wszystko ani ziębi, ani grzeje.“ Ta obojętność, ten egoizm w połączeniu z naiwną szczerością — to doprawdy coś, czemu nawet uwierzyć trudno.

Czyż istotnie nic już nie obchodzi tych milionerów *in spe*, prócz myśli, w jaki sposób w jak najkrótszym czasie jak najwięcej zebrać? Czy doprawdy nie obchodzi ich, chociaż z oddali, co czuje, myśli i tworzy ogół mieszkańców kraju? Czyż rzeczywiście mogą oni, chociażby o tysiące wiorst oddaleni, nie odczuwać tego wszystkiego?

W całej tej sprawie winno, zdaje się, wiele lekkie traktowanie tych argonautów naszych przez ogół. Rozpacza się zwykle przy ich wyjeździe nad tem, iż jadą tak daleko, i to jeszcze na Syberyę; o tem zaś, iż popełniają pewnego rodzaju krzywdę, usuwając swe młode zazwyczaj siły od pracy śród swoich, że nie wypłacą społeczeństwu swemu prostego długu do którego względem swoich poczuwać się winni — o tem wszystkiem nikt im nie wspomni nawet. Co prawda, przy wyjeździe ani sam odjeżdżający, ani żegnający go nie przypuszczają nawet, iż te 4—5 lat, jakie zamierza on spędzić na krańcach, przeciągną się do 10—15, a nawet 20 lat. Niestety jednak, tak bywa właśnie najczęściej.

Po trzech latach urzędnikowi, pozostającemu na służbie rządowej, przysługuje wprawdzie prawo sześciomiesięcznego urlopu z zachowaniem pensyi; niezawsze jednak można go otrzymać po upływie tego terminu; przechodzi czasem i cztery, pięć lat, zanim upragniony urlop da możność „odświeżenia się w Europie.“

O tem, aby wrócić zupełnie po 4—5 latach, niema nawet mowy. „Nie wrócimy przecież z *niczem*,“ powiadają. A na to *coś*, w postaci chociażby paru tysięcy rubli, czekać jeszcze trzeba przynajmniej drugie tyle. Po 10 latach służby na Syberyi urzędnicy otrzymują takież same „progony,“ jak przy wyjeździe (bez względu na to, czy wracają lub nie do kraju). Po 10 latach każdy więc ma niby możność powrotu, otrzymując gotowe pieniędze na przejazd. Ale dziesięć lat, jakiż to strasznie długi przeciąg czasu! Dziesięć lat! Jeżeli nawet, jak syn marnotrawny, taki nasz argonauta wróci do kraju, będzie tu już zaledwie cień tego, który wyjechał.

Nie będzie to już człowiek w sile wieku, pełen życia, energii i chęci do czynu, lecz raczej ruina człowieka, znużonego życiem, zniechęconego borykaniem się z losem, żądnego już tylko zasłużonego, według niego, spokoju i odpoczynku. Niewiele więc, jak widzimy, można się już po nim spodziewać po powrocie.

A iluż to jeszcze nie wraca i wtedy! Jednego trzyma czas jakiś nadzieja dosłużenia się całej lub połowy emerytury, drugiego, wskutek przyzwyczajenia się i zżycia z nowem miejscem, nie ciągnie już nic do kraju, innemu wreszcie ciężko rozstawać się z mogiłami swych najbliższych, których nieubłagana śmierć tam zabrała.

Pół biedy jeszcze, jeżeli wyjedzie na Syberyę człowiek familijny. Żona i matka, jeżeli tylko będzie dzielną kobietą, potrafi przechować zawsze w domu owym kult dla wszystkiego, co swojskie, potrafi zaszczepić w młodocianych duszyczkach swych dzieci, niepamiętających lub nawet nieznających zupełnie kraju rodzinnego, miłość i tęsknotę do niego. Gorzej, jeżeli wyjeżdża na Syberyę człowiek nieżonaty.

Chcę wreszcie słów kilka poświęcić losowi ludzi prostych, szukających na Syberyi jakiejkolwiek pracy, których większość zajęta jest przy kolejach. Przyznać trzeba, że o zarobki tu nie trudno, wobec lenistwa ludności miejscowej. Praca więc przyjezdnych jest popłatna: przy budowie kolei np. prosty robotnik zarobić może łatwo do 2 rubli dziennie. Nie ulega więc wątpliwości, iż materyalnie zyskuje on wiele; moralnie jednak ginie za to często nazawsze.

Na ludzi tych, młodych zazwyczaj, niemających tu ani rodziny, ani opieki, żadnego wogóle moralnego oparcia, fatalny wpływ wywierają ich towarzysze pracy. Bo i któż są ci koledzy? Większość niestety, rekrutuje się z „Iwanów Niepomniaszczych“ (tak nazywają na Syberyi tych, co uciekli z ciężkich robót) itp. wyrzutków społeczeństwa; przyjmując bowiem do roboty, nie pytają tu o rekomendacye, byle mieć parę zdrowych rąk do pracy. Nie trudno się domyślić, co dzieje się w podobnem towarzystwie z prawym chociażby z gruntu, lecz niezbyt stałym i wyrobionym charakterem przybysza. Lwią część zarobku topi on wraz z nimi w kieliszku, cały czas wolny spędza zazwyczaj w karczmie.

I tu właśnie, gdzie koledzy wyszydzają każdy jego czyn uczciwszy, każdy szlachetniejszych popęd duszy, tu, gdzie przechwalają się jeden przed drugim, jak bohaterstwem, swemi zbrodniami, tu, gdzie miłość, litość, współczucie itp. uczucia są tylko pustymi dźwiękami, tu — dokonywa się pasowanie nowego kolegi na godnego towarzysza. Wkrótce też zatraca on zupełnie pojęcie, co jest rzeczywiście złem, a co dobrem.

Jak często przytem ciż sami przyjaciele, to przez zemstę, to przez zadrość, to wskutek obrazy „honoru,“ lub jeszcze błahszego powodu — pozbawiają życia swego towarzysza, o tem świadczyć mogą smutne karty kronik miejscowych, notujących rok rocznie setki sekcyj trupów „niewiadomych“ ludzi. Zamiast złotego runa znajdują straszną śmierć....

Mar. Wys.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Pisma filantropijne.

Rodzinie prasy naszej ma przybyć nowy członek — pismo filantropijne. Nie potrzebuję chyba budzić w czytelnikach radości z tego powodu, bo oni zapewne sami ją uczują. Organ, który — według jednego ze swych ojców chrzestnych — ma „zająć się gorliwie walką z nędzą *pod wszelkiemi postaciami*, gdy my dotąd gorliwie ją hodujemy na rozmaite sposoby“ — taki organ, to nie zwyczajny bachor dziennikarski, który sam nie umie tego, czego ma uczyć innych, nawet nie bakałarz, odklepujący podręczniki, nie nowiniarz, nie grafoman, to Herkules, który postanowił urwać łeb hydrze nędzy społecznej — „pod wszelkiemi postaciami.“

A ileż ich jest! Nauka nie wynalazła tylu form badania, sztuka — tylu form artyzmu, cnota — tylu form dobra, ile życie wytworzyło form nędzy. W jego tkance ma ona najwięcej komórek, w jego organizmie — najwięcej swoich nerwów. Szczęście ludzkie pływa jak mały statek po wielkiem morzu niedoli, ciągle miotany burzą i rozbijany na skałach. Wobec rozmiarów i siły oceanu jest on błonką, w której na falach spoczywa młody, bezradny komar. Przeznaczenie wyraziło losy człowieka w formule: X podzielone przez Y w potędze nieskończonej, przyczem Y oznacza nieszczęście. Mijając na ulicy tłum przechodniów, nie grupujmy ich według odzieży i uśmiechów, lecz przypuśćmy odrazu, że koło nas ziarnko złota fortuny przesypuje się z pustynią piasku. Będzie to najmniejsza z możliwych omyłek.

Jakiż ogrom zadań spadnie na pismo filantropijne! Gdzie ono się obróci, wszędzie dostrzeże wyciągnięte ku sobie ręce. Malarz, który szuka tylko barwnych plam, folklorysta, który wypatruje dawne ślady i przeżytki cywilizacyi — odnajdzie w życiu ludu wiejskiego bogactwo. Ale co innego zobaczy filantrop. Połatane różnokolorowymi szmatami porteczyny na gołych nogach, rudy kożuch z kępkami wełny, zeschłe, dziurawe buty — przy 20 stopniach mrozu, obszarpana, wbita w ziemię, nasiąkła wilgocią chałupa, w której gęste powietrze można krajać — wszystko to doskonale wygląda przeniesione do obrazu albo do książki, traktującej o „stylu rodzimym.“ Filantrop wszakże zrozumie, że ta barwność i stylowość nie mogą być przedmiotem zazdrości nawet psów, posiadających gęsty włos na skórze i ciepłą budę. W sąsiedztwie izby krowa, koń i świnia — także ładny widoczek na płótnie, w rzeczywistości jednak *mille-fleur* amoniakalny, wlewający się w płuca, wygryzający oczy, zdzierający rumieńce z twarzy, należy do tych rozkoszy, których używa dobrowolnie tylko dudek, nieoczyszczający swego gniazda. Spać w oborze lub stajni — to podobno taka przyjemność, że aż pan w zimnym dworze zazdrości swym pasterzom i furmanom „ciepła.“ Ale redakcya pisma filantropijnego nie chciałaby zapewne upajać się wyziewami nawozu podczas swych

nocnych marzeń. Chłop nie zna neurastenii, kataru żołądka i kamieni wątrobianych, włazi po pas w zmarzłą wodę i nie zaziębia się, podnosi korzec żyta, umie przez dobę nie jeść a przez trzy doby nie spać, jeździ do Ameryki bez geografii i robi (wykonywane) testamenty bez kodeksu, a wszystko zawdzięcza jakoby kartoflom, które je trzy razy dziennie. Filantrop jednak nie wierzy tej hygienie i mniema, że gdyby chłopi mieszkali i karmili się lepiej, może nie byliby wytrzymalsi, ale podobniejsi do ludzi. Nieraz on też stanie w progu zatęchłej chaty, i przyłożywszy wonną chustkę do nosa, zawoła: kochana gosposiu, otwórzcie okna, ugotujcie mężowi i dzieciom posilnego rosołu, a konia, bydlęta i wieprzki przeprowadźcie do osobnego budynku, na co składam tu wam w imieniu redakcyi tysiąc rubli.

A lud wiejski, ten lud, którego najpiękniejszym snem jest półrubel za 11 godzin pracy, kawałek wędzonki na obiad, misa kartofli na kolacyę, para butów na rok, jedna koszula czysta na tydzień, dwie kąpiele przed świętami w ciągu roku, garnitur bawełniano-wełniany, kupiony w kramie starzyzny, śmierć kilkorga zbytecznych dzieci, bezpłatny szpital i niedoczekanie starości!.. Tu także filantrop ma szerokie pole do działania i przetwarzania stosunków. Jego miliony rubli nie będą ani chwili czekały na zajęcie. Obecnie w Niemczech osobne towarzystwa budują tanie mieszkania dla robotników. Obliczono, że przeciętni najmici mogą ze swych zarobków wydawać na ten cel 3—5 marek (150 do 250 kop.) tygodniowo. Więc postawiono sobie do rozwiązania zagadnienie: jak zbudować dom, ażeby dwupokojowe lokale mogły być wynajmowane za tę cenę? I wzniesiono już całe szeregi takich kamienic. Wkrótce jednak przekonano się, że dwie widne i obszerne izby, a nawet kanalizacya i wodociągi nie stanowią jeszcze niezbędnych wygód dla najskromniejszej rodziny. Powinna ona przecież mieć jakąś pralnię, skład na sprzęty, biblioteczkę, a wreszcie ochronę dla dzieci. Zważmy bowiem, że siedlisko, w którem mieszka 300 rodzin, zawiera w sobie co najmniej tyleż dzieci, które pozostają bez opieki i które należy gdzieś skupić pod wspólnym dachem. Jak wiadomo, u nas podobna myśl zalęgła się, ale w porównaniu z potrzebami jest ona drobną muszką, która siada na nosie i drażni śpiącego niedźwiedzia. Należy więc przypuszczać, że pismo filantropijne albo samo podejmie, albo zorganizuje olbrzymią spółkę do budowania domów z taniemi mieszkaniami. Kilka milionów rubli nie będzie zbyt wielkim wysiłkiem dla jego kasy.

A czyż na tem skończą się jego zadania? Tłumy ludzi, szukających chleba, tłumy ubogiej młodzieży, szukającej światła, tłumy kobiet, walczących o wiedzę i stanowiska niezależne, tłumy ofiar rozpusty, pozbawione praw i ratunku, tłumy dzieci nieprawych, duszonych lub porzucanych, tłumy starców i kalek, niemogących własną pracą utrzymać się przy życiu — cała ta nędza „pod wszelkiemi postaciami“ wejdzie w obręb działalności pisma filantropijnego. Nie przemieni się ona odrazu na dostatek, wesele, szczęście, ale przemieni się niewątpliwie. Na niebie naszej prasy, albo raczej naszego życia zabłysnął brzask, wierzmy, że słońce, które po nim wejdzie, rozpędzi mroki, oświeci i ogrzeje najgłębsze niziny społeczne, że...

Co to jest? Stanęło przede mną widmo „pisma filantropijnego,“ blade przerażeniem, czy gniewem. „Ależ ja wcale o tem wszystkiem nic myślę“— wyszeptało. Przepraszam — omyliłem się. Więc pocóż było gadać o „walce z nędzą pod wszelkiemi postaciami“? Rozumiem. Szanowny filantrop chce tylko przyrządzać frazeologiczne potrawki na sosie dobroczynnym, zgromadzić w swej spiżarni wszystkie datki, rozproszone po pismach, zbierać „ofiary zamiast powinszowań noworocznych,“ „zażegnywać fatalną czternastkę,“ być szafarzem rozmaitych jałmużn... A, to co innego...

Poszedłem nad Wisłę. Usiadłem na brzega i puściłem wzrok po jej rozlewach. Dzika, nieokrzesana, nieporządna rzeka, zamiast płynąć zwartym nurtem, wyłazi ciągle ze swego łożyska, bezmyślnie rozpościera się po płaskich wybrzeżach, ryje je zygzakowato, wdziera się zatokami w pola, chodzi samopas po lądzie, jak krowa po cudzej łące. Tu kawałek wydrze, tam zdepcze, tam się położy — szkodnica. Zebrałem kilka polnych kamieni, trochę patyków, piasku, okruchów cegły i zacząłem je układać. Urósł z tej zbieraniny wałeczek, który koza mogła okraczyć, a mysz przeskoczyć. Przechodnie przyglądali się ciekawie mojej robocie, nie odgadując jej celu. Zgromadziła się powoli dość liczna ich gromadka, a śród niej znalazło się kilka śmielszych jednostek, które zagadywały mnie natarczywie. Nie odpowiadałem, bo zdawało mi się, że mój plan powinien być dla wszystkich zupełnie jasny. Nareszcie zbliżył się mąż uprawniony do zadawania wszystkim wszystkich pytań:

— Co pan robisz?

— Reguluję Wisłę.

Jedni się roześmieli — drudzy wzruszyli ramionami. Dlaczego? Przecież mój zamiar nie był ani gorszy, ani trudniejszy od wydawania „pisma filantropijnego.“

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Chorwaci i Serbowie.

(Studyum socyologiczne).

III.

Faktów socyologicznych żadne tendencyjne dziejopisarstwo ani obalić, ani unicestwić nie może. Zamilczane przez wieki, po wiekach na jaw wychodzą. Dzisiaj jest to poprostu śmiesznem szukać początku szlachty, jak to Kallay czyni, „w wolnych wyborach“ (czemu nie w powszechnem głosowaniu, to byłoby jeszcze modniej?). Dzisiaj nikt nie uwierzy, że szlachta serbska wytworzyła się w powolnym rozwoju, w którym „jednostki z pośród równouprawnionych wybrane na naczelne urzędy,“ z czasem przez dziedzictwo urzędów w ich rodzinach stały się klasą szlachecką, i że tym sposobem, w powolnym rozwoju z masy równouprawnionych wyłonił się stan „najszlachetniejszych i najlepszych,“ jako stan szlachecki. Nie robimy Kallayowi zarzutu z tego sposobu przedstawiania: poszedł on tylko za szeroko rozpowszechnioną metodą *dziejopisarstwa*, które nie ma nic wspólnego z nowoczesną metodą badań ścisłych i nie było nigdy ani nie jest — *nauką*. Prawda, że tam, gdzie o powstaniu państwa istnieją wiarogodne świadectwa, dziejopisarstwo to zmuszone jest opowiadać fakta, niedające się przemilczeć. Po długich latach zaciętych sporów musieli w Rosyi „sławomani“ pogodzić się z faktem założenia państwa rosyjskiego przez skandynawskich Rossów (Kunik), a założenie Anglii dzisiejszej przez Normanów nie mogło wogóle nigdy być zaprzeczonem, dla zbyt wiarogodnych świadectw historycznych. Takie natomiast sielankowe przedstawienia początków państwa i szlachty, jakie nam podaje Kallay, znajdujemy wszędzie tam, gdzie o początkach państwa *nie mamy wiarogodnych świadectw*, wszędzie tam, gdzie np., jak powiada Kallay, „pierwsze wieki historyi (serbskiej) są ciemne.“

Dziwna atoli rzecz! Gdzie tylko „pierwsze wieki historyi są ciemne,“ tam państwo i szlachta tworzą się w powolnym rozwoju; tylko tam, gdzie mamy niezbite dowody historyczne, tam rzeczy odbywają się mniej sielankowo. Co za fatalny przypadek! Ale pytanie, czy *nauka* wierzyć może w te sielanki, komponowane przez historyków patryotycznych, w te „ciemne wieki“? Nie! Socyologia ma inne kryterya, według których tworzy sobie zdanie co do zajść w takich „ciemnych wiekach.“

Mianowicie następujące:

Po pierwsze, trzymając się zasady prawidłowości zjawisk społecznych, socyologia z niezliczonych, wiarogodnemi świadectwami historycznemi stwierdzonych faktów zakładania państw za pomocą najazdu i podboju, musi wyprowadzić wniosek, że i te państwa, których początki przypadkowo pokrywa tajemnica dziejowa (często sztucznie stworzona przez zniszczenie świadectw historycznych) nie w inny sposób powstały. Wyprowadzając z licznych znanych faktów wniosek co do niektórych nieznanych zjawisk tego samego rzędu, socyologia trzyma się tej samej metody, za pomocą której nauka wogóle ze zjawisk czasów historycznych wyprowadza wnioski, skierowane wstecz ku czasom przedhistorycznym, i za pomocą której w różnych dziedzinach nauki, np. na polu geologii, osiągnięto tak znakomite wyniki.

Powtóre. Ważniejsze jeszcze kryteryum dla rozjaśnienia faktów, które zaszły u kolebki państwa i dla odgadnienia sposobu, w jaki powstała szlachta pierwotna choćby w „zupełnie ciemnych“ wiekach, stanowi porządek prawny i organizacya społeczna państwa w wiekach późniejszych, szczególnie zaś formy własności gruntowej szlacheckiej i stanowisko ludu poddańczego. Gdziekolwiek bowiem natrafiamy na formę *uprzywilejowanej własności ziemskiej szlacheckiej*, tam z matematyczną pewnością orzec możemy, że taka forma własności jest dziełem najazdu i podboju. Istnienie zaś takiej własności ziemskiej najwyraźniej zaświadcza „zakon Cara Duszana“ w Serbii. Ustawa ta, pochodząca z r. 1349, zawiera postanowienia prawne co do wielkiej własności ziemskiej, której posiadacze tworzą osobny stan uprzywilejowany. Własność ta („Basztina“) wolną jest od wszelkich podatków, a posiadacze jej obowiązani są tylko do osobistej służby wojskowej w przypadku wojny. Nabywać ją mogą tylko „wlastitiele,“ tj. ludzie stanu szlacheckiego *). Lud zaś osiadły na „Basztinach,“ poddany jest „wlastitelowi“ i obowiązany do robót poddańczych (pańszczyznianych).

Sławiści lingwiści nie rozstrzygnęli jeszcze kwestyi, co znaczy właściwie wyraz „Basztina.“ Sądzę jednak, że zagadnienie to jest dość proste; wyraz ten pochodzi od „baszta,“ co znaczy budynek warowny, dwór obwarowany, jaki tylko szlachcie wolno było stawiać w swoich dobrach. To prawo stawiania zamków i dworów warownych i w innych krajach służyło tylko szlachcie. Na gruncie nieszlacheckim (który w zakonie cara Duszana nazywa się „pronia“) dworów takich, rzecz oczywista, nie było wolno stawiać. **)

*) Wyraz „wlast,“ od którego pochodzi „wlastitel,“ znaczy władza, a „wlastitel“ — władca, czyli *pan*; pojęcie to zlało się z czasem z pojęciem: własność i właściciel, bo pierwotnie te dwa pojęcia były identyczne; pojęcie władzy obejmowało w sobie pojęcie własności.

**) I co do wyrazu „pronia“ lingwiści są różnego zdania. Ogólnie wywodzą go z greckiego Προνοια. Prawdopodobniej pochodzi on z gockiego [illegible] (niemieckie Frohn), co znaczy *danina*.

Taki porządek prawny, taka organizacya własności ziemskiej wszędzie i zawsze następowała tam, gdzie najeźdzcy, opanowawszy kraj, ujarzmili ludność. Spotykając więc w Serbii taką organizacyę, możemy z pewnością wnioskować, że poprzedził ją najazd i podbój.

Cały szereg instytucyj prawnych, przeznaczonych do podtrzymania głównej organizacyi szlacheckiej, takich samych, jakie znajdujemy w innych państwach europejskich, zbudowanych na podboju, np. w Anglii i Węgrzech, mamy także w „zakonie cara Duszana“; te ustawy i przepisy serbskie przypominają nam żywo podobne ustanowienia germańskich *leges barbarorum*, jako też instytucye innych średniowiecznych państw europejskich.

Podobieństwa te nie są przypadkowe, ale są naturalnymi skutkami tych samych przyczyn: jeżeli tę samą organizacyę własności szlacheckiej znajdujemy u Franków, Burgundów, Wizygotów, Bawarów, którzy byli najeźdźcami i założyli państwa na zasadzie podboju, to z istnienia takiej samej organizacyi w Serbii wnioskować musimy, że ci „Serbowie,“ którzy zajęli Serbię w VII wieku, nie byli niczem innem, jak najeźdźcami, którzy przy pomocy cesarzów bizantyjskich ziemię tę zajęli i lud tamtejszy ujarzmili. I tak samo, jak założenie wszystkich tych państw odbyło się na jedną modłę, tak też rozwój ich społeczny wydał podobny skutek, mianowicie wytworzył odrębne narodowości, serbską i chorwacką. Odbyło się to w taki sposób, że połączone w odrębnych organizacyach państwowych ludności najrozmaitszego pochodzenia, ulegając przez ciąg wieków wspólnym wpływom państwowym, losom historycznym, przyjąwszy i wykształciwszy wspólny język i wspólną religię, przyszły do poczucia wspólności narodowej, wyrosły na wspólnej ziemi „ojczystej“ — słowem, odbył się proces unarodowienia ludności, objętej przez wieki wspólną organizacyą państwową. Tak więc dzisiaj czują się jako odrębne narodowości Serbowie i Chorwaci, jako „rasy“ odrębne, choć niemi nie są w znaczeniu antropologicznem, a tylko w znaczeniu politycznem. Jako takie odrębne zbiorowości, każda z nich ma swoje interesy zbiorowo-egoistyczne, a ponieważ z sobą sąsiadują, a każda dąży do jak największej potęgi i rozwoju sił swych, powstaje więc nieunikniona rywalizacya i „walka ras.“ Ta walka wytwarza wzajemną nienawiść, na której tle najdrobniejsze odcienie „właściwości narodowych“ stają się „nieprzebytemi przepaściami“ między jedną a drugą „rasą.“

Mają w gruncie rzeczy Serbowie i Chorwatowie ten sam język, a jednak istnieją *dwie* literatury i rywalizacya ich wzajemna. Ale bo też strasznie się różnią te dwa piśmiennictwa: jedno używa zgłosek łacińskich, a drugie kirylicy! Dalszą „nieprzebytą przepaść“ między temi dwiema „narodowościami“ stanowi religia, a raczej obrządek. Chrystusową religię wyznają oba narody, ale Serbowie podlegają metropolicie Belgradzkiemu, a Chorwaci papieżowi w Rzymie! To wystarcza, żeby jedni i drudzy palali ku sobie śmiertelną nienawiścią, a przynależne do nich jednostki przy lada sposobności nawzajem łby sobie tłukły — wyznawcy religii miłości bliźniego! Gdzie szukać przyczyn tego dziwnego zjawiska? Czy to może przywara szczególna Serbów i Chorwatów? Byłoby niesprawiedliwością tak sądzić, bo nietylko u nich się tak dzieje. Gdziekolwiek, wskutek rozwoju organizacyj państwowych, pewne masy ludności doszły do poczucia odrębności narodowej, tam wszędzie między sąsiedniini narodami powstaje antagonizm interesów, a wskutek tego nienawiść narodowa i — „walka ras.“ Oczywista, że o różnicy rasy w znaczeniu antropologicznem u Serbów i Chorwatów tak samo nie może być mowy, jak, dajmy na to, między Niemcami a Francuzami, bo krew Franków płynie w żyłach jednych i drugich, a jak się tam pokrzyżowały ludu, podbite przez Franków z tej i z tamtej strony Renu — któż tego dociecze?

Tak samo u Serbów i Chorwatów. W żyłach ich płynie krew ludów, od niepamiętnych wieków na półwyspie Bałkańskim osiadłych, które w starożytności nazywano Trakami, Ilirami, Skordyskami, potem Słowianami! do tych dołączyły się tłumy Awarów, Italczyków, a nareszcie wszystkich opanowały owe drużyny Serbów i Chorwatów, z pochodzenia Gotów. Więc któż dociecze, jaka krew płynie w dzisiejszych Serbach i Chorwatach. Zresztą dzisiaj o przynależności do jednej lub drugiej narodowości rozstrzygają okoliczności przypadkowe: wychowanie, chrzest według jednego lub drugiego obrządku, przypadkowe przesiedlenie się z jednej okolicy do drugiej. Bywają dziś rodziny, których członkowie jedni są zapamiętałymi Serbami, drudzy Chorwatami. Ba, bywają nawet w Dalmacyi rodziny (mówię o fakcie autentycznym!), w których z trzech braci jeden jest zapamiętałym Serbem, drugi Chorwatem, a trzeci — iredentystą Włochem! I nienawidzą się śmiertelnie, jako „wrogowie szczepowi,“ i w trzech różnych obozach narodowych biorą udział w zaciekłej „walce ras.“ srożącej się dziś nie mniej w Dalmacyi, jak na całym półwyspie Bałkańskim.

Zjawiska takie stanowią dla socyologii jedno z najtrudniejszych zagadnień: co jest „narodowość,“ jaka przyczyna „nienawiści narodowej“ i śmiertelnych walk narodowościowych, które nawet w czasach pokoju sprowadzają takie wybuchy fanatyczne i sceny wandalizmu, jakich niedawno byliśmy świadkami w Zagrzebiu?

Nie myślę tutaj zapuszczać się w tę sprawę, zbyt zawiłą i wymagającą osobnego, obszernego traktowania. Dziś na tem miejscu niech mi wolno będzie krótko zaznaczyć, że po za temi walkami narodowościowemi, po za temi walkami „ras“ kryją się interesy możnowładcze świeckie i kościelne. Po za tłumami Serbów i Chorwatów, które każdej chwili gotowe są do rozlewu krwi, stoją politycy, którzy mają swoje realne interesy polityczno-materyalne, stoją hierarchie kościelne obrządku wschodniego z jednej, a rzymskiego z drugiej strony. Patrząc się na te sprężyny tajne interesów świeckich i kościelnych, które podniecają „walkę rasową“ dwóch „narodowości“ o takich nawet nieznacznych odcieniach różnicy, jak Serbowie i Chorwaci, mimowolnie przychodzą na myśl igrzyska cyrkowe w pogańskim Rzymie, gdzie dla rozrywki możnych, gladyatorowie nawzajem się zabijali. Kto wie, czy walki Serbów z Chorwatami nie są czemś podobnem? Bo w walkach tych nie rozstrzygają się bynajmniej interesy *tych*, którzy biorą w nich udział bezpośredni, ale raczej tych, którzy z daleka im się przypatrują i tylko hasła wydają. Ale, powtarzam — jest to zagadnienie socyologiczne, którem może się zajmie wiek XX.

Tyle tylko jeszcze na zakończenie:

Historycy kultury wielbią wieki nowożytne jako wieki cywilizacyi i chrześciaństwa, w przeciwstawieniu do ubiegłych tysiącoleci barbarzyństwa i pogaństwa. Kto wie, czy socyologia kiedyś nie speryodyzuje dziejów ludzkich inaczej; czy nie powie, że wieki barbarzyństwa i pogaństwa sięgały daleko po za XX wiek ery naszej?

Prof. Ludwik Gumplowicz.

LITERATURA I SZTUKA.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Stanisław Kozłowski: *Luminarz*, satyra w 4 aktach.

Autor „Alberta wójta,“ „Turnieju,“ „Dyany“ i — *satyra społeczna* — te dwa pojęcia tak jakoś nie licują ze sobą, że na premierze środowej udało nam się z łatwością uniknąć przykrości rozczarowania. Można było przewidzieć z góry, że ślizgające się po samym wierzchu fali życiowej ostrze tej satyry nie okaże się zbyt groźnem dla wad i braków społeczeństwa, że nie czarę piołunu otrzymamy z rąk autora, lecz skromną szklaneczkę słodko-kwaśnej lemoniady, przygotowanej według jednej z tych recept odwiecznych, które na uciążliwe i trudne do usunięcia, cierpienia zalecają choremu — pigułki chlebowo-cukrowe.

P. Kozłowskiemu trafiły do przekonania ukazujące się od czasu do czasu artykuły publicystyczne, skierowane przeciw synekurzystom różnych naszych instytucyj, łączącym w swych rękach po kilka dobrze płatnych posad i dzielącym się z urzędnikami młodszymi i nieznanymi w taki sposób, że im dają pracę mozolną, pozostawiając sobie dostatki i zaszczyty. Z takim zasobem niezadowolenia społecznego, w jakie go wprawiły te narzekania publicystów lub może własna obserwacya, nie licząc notatek dziennikarskich o umizgach różnych dyrektorów do podległych im pracownic biurowych, mógł on śmiało poruszyć raz jeszcze wymienione sprawy na łamach którego z *Kuryerów*. Ale p. Kozłowski zanadto się przejął rolą filara sceny warszawskiej, by na temat powyższy nie napisać dla niej „satyry,“ choćby mu nawet wypadło wzorować się w niej na operetkach i farsach i nie stworzyć przytem ani jednej nowej, a prawie ani jednej naprawdę żywej postaci.

Synekurzysta-frazeolog (p. Frenkiel) obchodzi w gronie rodziny, przyjaciół i wielbicieli jubileusz dwudziestopięcioletniej działalności w jakimś banku i paru innych instytucyach społecznych. Niewytłomaczonym zbiegiem okoliczności, właśnie w ciągu trzech dni jubileuszowych wykrywają się w banku nadużycia i sprzeniewierzenia, wychodzi na jaw wobec rodziny budżet wydatków „kacyka Koko“ i jego kosztowne miłostki pokątne; „pan senator“ którejś z fars niemieckich, przeniesiony do polskiej satyry scenicznej, traci synekurę prezesowską, a nadomiar złego cała rodzina, złożona z żony, córki i zięcia, potulna dotąd do śmieszności, buntuje się niespodziewanie przeciw uscenizowanemu Pławickiemu i prawi mu po kolei nauki moralne i gorzkie wyrzuty.

W pierwszych trzech aktach zdarzają się niezłe sceny pojedyncze, choć już w drugim np. epizody między dyrektorem banku (p. Żelazowski) a panną Morską (p. Kochówna) jest jakby żywcem wzięty z bieżącej kroniki dziennikarskiej, a całe posiedzenie rady zarządzającej ma wszystkie cechy roboty operetkowej. Występujące figurki — to przeważnie wytarte szablony konwencyonalne bez najmniejszego pogłębienia duchowego. Jedyny i to częściowy tylko wyjątek stanowi może bohater sztuki, jeden z tych komedyantów życiowych, mających zawsze pięknie zaokrągloną frazes na ustach i niewstydzących się bynajmniej ani wysokiego mniemania o samych sobie, ani wstrętnego wyzysku, upra-

wianego systematycznie względem otoczenia całego, nie wyłączając najbliższej rodziny. Ale i tu zasługa nadania tej postaci cech życia przypada w znacznym stopniu doskonałemu jej wykonawcy, p. Frenklowi.

Dziwne i długotrwałe zaślepienie Zenona (p. Roland, który również zrobił, co mógł, z tej roli, a miał niełatwe zadanie) co do istotnej wartości teścia, jest równie mało prawdopodobne, jak całe zachowanie się zięcia w akcie trzecim i czwartym, jak nagłe i niedostatecznie umotywowane przeistoczenie się zupełne jego teściowej i żony, jak wszystkie te niemiłe tyrady przy końcu aktu czwartego, który, dla częściowego chociaż uratowania sytuacyi, należałoby skrócić najmniej o połowę. Niezupełnie wyjaśnioną w „satyrze“ p. Kozłowskiego jest i rola Zmorskiego (p. Nowicki), pół rezonera, pół prześladowcy prezesa, śledzącego wszystkie jego kroki z wprawą agenta tajnej policyi i obalającego go wreszcie z tak wygodnego stanowiska.

Ale autor „Taborytów“ nie zasmuci zanadto swych widzów, nie zdenerwuje ich i nie przerazi. Sprzeniewierzenie w banku jest stosunkowo nieznaczne i łatwo dosyć sam zarząd pokryć je zdoła; cnotliwy Zenon doczekał się dyrektorstwa i prędko zmienił ton mowy; prezes, choć zgnębiony, niezupełnie traci ochotę po utracie synekury i pięknej Mimi (pani Siennicka) do dalszych prób w tym samym, co dotąd, rodzaju; nawet jego wierny sekretarz i wspólnik (p. Szymanowski) pozostaje na korzystnej posadzie. Szkoda tylko, że do „Luminarza“ nie da się zastosować twierdzenie: wszystko dobre, co się dobrze kończy, że natomiast zbyt często powtarzać na nim musimy: wszystko to już było.

Mimo średnie bardzo zalety sztuki, wszyscy występujący w niej artyści, aż do ról drugo i trzeciorzędnych, grali dobrze, niektórzy nawet świetnie. Oprócz wymienionych już, doskonałą sylwetkę starego radcy, w którym od czasu do czasu odzywają się lepsze instynkty, stworzył p. Rapacki, a wyborną Mimi była p. Siennicka. P. Wilczyński był w miarę uniżonym i giętkim buchalterem Moresem, a nawet w małej rólce woźnego p. Krogulski miał wcale dobrą scenę mimiczną. Sztukę wystawiono starannie.

Wł. Bukowiński.

Obrazy Maryana Wawrzenieckiego.

Osiem lat pracy złożyło się na te kilkadziesiąt płócien, wystawionych w Salonie Krywulta. Są to prace rozmaitej wartości artystycznej, co zresztą nie jest przyganą, ale raczej pochwałą, bo dowodzi szczerych usiłowań i samodzielnych dążeń autora. Tylko szablon i naśladownictwo może się zdobyć na długi szereg prac *jednakowej* wartości. Tych przeciętnie poprawnych szablonistów nam nie brak. Wychodzą z pod ich pędzla, czy nawet patronu, liczne polowania, saneczki, koniki, naganki i tym podobne utwory, które, wyzyskując popularność i swojskość tematu, zalegają nasze wystawy, sklepy artystyczne i ściany domów prywatnych. Są one kubek w kubek do siebie podobne i można dowolnie dziesięciu artystom przypisywać ich ojcostwo.

Stworzyć jednak coś własnego, prawdziwie wyczutego, coś niepodobnego do większości bieżącej produkcyi malarskiej, jest to krok bardzo ryzykowny. Trzeba być pierwszorzędnym mistrzem i wirtuozem pędzla niezrównanym, by publiczność, przerażoną tą nadzwyczajnością, jednocześnie tak onieśmielić, aby się śmiać nie odważyła. Bo każda praca oryginalniejsza zwykle albo przeraża, albo śmieszy, a uznanie i uwielbienie zjawia się dopiero powoli, w miarę przyzwyczajania się do formy nowej.

Prace Wawrzenieckiego nie są w tym stopniu doskonałe, żeby aż onieśmielały, więc też jeden się z nich śmieje, drugi ramionami wzrusza, a i ci są jeszcze łaskawi, bo ogół przechodzi koło nich z zupełną obojętnością — prasa również.

Ci panowie krytycy spazmują z zachwytu przy byle rzeczy modnej lub firmie sławnej, tu tracą zwykłą pewność siebie i sami nie wiedzą, co powiedzieć. Pochwalić niepodobna, bo redaktor by pożegnał zaraz krytyka, który chwali, kiedy czytelnicy „wyją.“ Ryczałtowo zganić też trudno, bo to i owo dowodzi, że ten malarz umie jednak trzymać pędzel w garści. Krytycy nasi potrafią tylko chwalić lub ganić, a to ostatnie znacznie częściej, niż pierwsze; ale postarać się zrozumieć artystę, wniknąć w jego usiłowania i dążenia, to już dla wielu z nich zadanie zbyt męczące, a może i zbyt trudne.

Wawrzeniecki napisał przed paru laty broszurkę p. t. „Dławcy.“ Nie ze wszystkimi jej szczegółami możnaby się zgodzić, w każdym razie jednak dobrze w niej ujawniona została charakterystyczna chęć ogółu do zniweczania wszelkich usiłowań i wszelkich choćby najlepszych intencyj. U ogółu ludzi jest to niemal instynktowne. Pochwały dla innych przyjmujemy podejrzliwie, ale naganom wierzymy święcie — na słowo. Dławienie może mieć tak samo formę bierną, jak czynną. Proste milczenie i obojętność jest takiem samem dławieniem, a może nawet skuteczniejszem, niż ostra i nieprzychylna krytyka.

Wawrzeniecki posiada przedewszystkiem pierwsze i najważniejsze cechy talentu: są niemi niezależność i samodzielność w tworzeniu. Jeśli maluje odmiennie od swych kolegów warszawskich, to nie przez chęć sztucznej pozy i oryginalności, ale z głębokiego przekonania, że tak właśnie trzeba daną myśl wyrażać. Analizując jego prace, zebrane na wystawie, trzeba przyjść do wniosku, że artysta ten wiele czuje i wiele odbiera wzruszeń, jako człowiek, a wzruszeniom tym pragnie nadać formę malarską tak sharmonizowaną, żeby w widzu wywołać taki a nie inny nastrój. Pragnie też wyrazić się w formie możliwie prostej i silnej. Jego „W ruinach“ jest prostym kawałkiem starego muru na tle nieba; niebo malowane w jednym tonie; obłoki gwałtownie obrysowane, mury z blizka zdają się być wykonane nieumiejętnie, a jednak z właściwej odległości otrzymujemy wyjątkowo silne wrażenie przestrzeni i plastyki. Podobnie inne studyum, przedstawiające starą basztę. Jest ona tak plastyczna, że nawet z blizka podejrzewa się, że to płaskorzeźba, naklejona na płótno, a wykonana jest również środkami niezmiernie pierwotnymi. Ale wspomniałem o tych pracach tylko mimochodem, jako raczej o usiłowaniach, niż o głównych celach artysty.

Z całej wystawy zdaje się być pod każdym względem najlepszym „Nowator.“ Obraz przedstawia róg jakiejś sali, gdzie do ściany przykuto człowieka, skazanego na stracenie. Wybornie tu jest zachowana perspektywa posadzki ze starych płyt kamiennych, jędrnie i barwnie malowanych. Ściany również stare, zniszczone i nagie, mają tylko wmurowane tu i owdzie ciężkie łańcuchy, a pod nimi doskonale w stylu archaicznym utrzymane freski, dosadnie a zarazem naiwnie wyrażające treść swoją. Jeden przedstawia karę potępieńców, drugi jakąś postać poważną i pełną spokoju, w stroju duchownym. W takiem otoczeniu stoi pod ścianą ów „Nowator“ z obrożą żelazną na szyi. Nad głową jego na murze majaczeje ciemna i niełatwa do rozpoznania figurka Chrystusa ukrzyżowanego — także nowatora i „wroga ludu.“ Dziś go tu umieszczono, podszywając się pod Jego godła. Przed skazańcem rzucono w nieładzie wszystkie jego dzieła: księgi, plany, teki, w których zawarł myśl całego żywota. Obok zgaszona wielka świeca jeszcze swędzi, wskazując, że tylko co został ten człowiek wyklęty. Okrwawiony topór zapowiada rozwiązanie tragiczne.

Cały ten obraz prosty a głęboki w pomyśle, stanowi bardzo jasne wypowiedzenie po malarsku myśli autora. Techniczna strona jest również bez zarzutu. Szczery realizm, bardzo silna plastyka i duża harmonia w barwach. W tym stopniu nagromadzonych i sharmonizowanych w jedną całość zalet nie spotykamy, niestety, w innych obrazach Wawrzenieckiego. Prace te są lepsze lub gorsze, ale prawie zawsze czuć w nich jakąś rozterkę wewnętrzną między usiłowaniami artysty a wykonaniem.

Tak np. „Finał“ przedstawia znakomicie oddane stare ceglane mury kościoła, przypominające kościół Maryacki w Krakowie. Jakiś zmrok szary, ponury, ciąży nad nimi, a na tem tle wybornem rozgrywa się dramat: młoda blondynka przykuta do ściany kościelnej, dalej pieniek do tracenia, obok niego rozciągnięty trupek noworodka, a dalej Śmierć w płaszczu i czapce katowskiej, oczekująca ze spokojem na swą ofiarę. Lecz niema tu już tego wybornego zespołu, co w „Nowatorze,“ czuć, że do wybornie oddanego tła krajobrazowego *domalowano* figurki niezłe, ale niedorównywające otoczeniu. Gdzieindziej, w „Pokutnicy,“ dał artysta krajobraz bardzo dobry, lecz figurka kobieca pozostawia wiele do życzenia. Zato studyum p. t. „Kamienie“ jest doskonałe.

Wawrzeniecki w swych kompozycyach osiąga często wprost znakomite w pomyśle *szczegóły*. Tak np. w tryptyku „Czarownica“ obraz środkowy ma doskonały ton, a zwłaszcza wyborny jest w pomyśle i w barwach wąż, ale figura kobiety traktowana bardzo pobieżnie. Wawrzeniecki ma upodobanie do wężów i smoków. Komponuje je najrozmaiciej i często bardzo oryginalnie. Tak np. w „Bajce“ wspaniałe są wprost te metaliczno - zielone sploty potwornego węża.

Figury ludzkie Wawrzenieckiego są dość często zaniedbane, i to bardzo szkodzi ogólnemu wrażeniu jego obrazów, choć w „Kapłance Astarty,“ „Przed kąpielą,“ lub w „Niewolnicy“ autor wywiązuje się i z figur zupełnie dobrze.

Czy mam mówić o utworach słabszych? Te zawsze znaleźć się muszą w tece artysty, który rzeczywiście tworzy z siebie, a nie naśladuje. U Wawrzenieckiego w pracach takich usiłowanie osiągnięcia siły zamienia się w brutalną twardziznę, kontrasty tonowe — w ordynarną surowość barw, a rysunek figur staje się jakby pamięciowym, powierzchownym, a czasem nawet prawie karykaturalnym. Zdaje się, że bywa to wynikiem nastroju duchowego artysty, stanu jego nerwów, a wreszcie tej pracy w otoczeniu obcem dla siebie, które się z góry już podejrzewa o zupełną obojętność dla swych usiłowań. Wawrzeniecki w swej twórczości jest bardzo nierówny i niespokojny: obok dobrego dzieła daje słabe, obok subtelnego — banalne. Krytyka i nasz ogół widzą tylko te ostatnie. Tego rodzaju talenty nie w każdej pracy umieją wypowiedzieć się należycie, niezawsze ich usiłowania harmonizują z rezultatami, ale bez zaprzeczenia są to talenty, zasługujące na uznanie i szacunek, bo posiadają je tylko prawdziwi i szczerzy artyści.

Sierp.

POEZYE

Z cyklu: „Żegluga."

Mielizna.

Ster mojego korabia dzierżę dłonią wprawną
I światła bacznych spojrzeń rzucam na szlak
[drogi,
Znużenie ostrą kosą podcina me nogi,
Lecz o chwilach wywczasu zapomniałem daw-
[no...

Z dobrą wiarą oracza w przyszłych żniw plon
[żyzny
Na wały wód spienionych wdzieram się zu-
[chwale
I w poczuciu mej mocy wszystkie trwogi palę—
Jednego tylko wroga się boję—mielizny!..

Bo stokroć prędzej dusza z tą myślą się godzi,
Że jeśli kiedy zgasną mych potęg wulkany —
Pójdę na dno, wciągnięty wirem strasznej
[klęski,

Niż z tą, że na mieliznie w uwięzionej łodzi,
Tyranowi bezczynu na pastwę oddany —
Usłyszę nienawistnych fal pogwar zwycięzki!..

Ziemia obiecana.

Błogosławione dłonie marzeń! Rozchylacie
Przetkaną złotem gromów chmur czarną zasło-
[nę...
Dusza klęka w zachwycie... jej oczy olśnione
Widzą słońce przyszłości w chwały majestacie...

Błogosławione dłonie marzeń!.. Podajecie
Spragnionym ustom zbawczy pokrzepienia kie-
[lich...
Fale cichną na rozkaz waszych władz anie-
[lich
I wicher tak łagodnie oddycha, jak dziecię...

Błogosławione dłonie marzeń!— Oto wdali
Barwną wstęgą się wije czarowne wybrzeże:
Ziemia, blasków tęczowych powodzią zalana,

Jak kwiat-olbrzym, z lustrzanej wynurza się
[fali...
Duszę pęd orlich myśli na swe skrzydła bierze...
O witaj, święty lądzie!.. Ziemio obiecana!..

Żeglarz—synowi.

Wrogie ryki nawałnic i wichrów poświsty
Hymnem groźby jęczały nad twoją kołyską...
Jam cię uczył, by nie drżeć, gdy grom pada
[blizko,
Nie tracić wiary w słońce, choć strop nieba
[mglisty...

W twej duszy rozniecitem zniczowe ogniska
I wiem, że pod twą strażą nigdy nie zagasną...
Synu, umrę spokojny z myślą, szczęściem jasną,
Że dobrego wioślarza w tobie łódź pozyska...

Staczając nieustanną walkę z fal przemocą,
Wśród burz śmiało żeglarskie wznosić będziesz
[godło,
I nigdy cię w sieć swoją zwątpienie nie złowi...

A chociaż ci zwycięztwa życia nie ozłocą—
Nie powiesz, że cię hasło bojowe zawiodło,
I znów je kiedyś swemu przekażesz synowi.

Stefan Smoleński.

SPRAWY EKONOMICZNE

Przemysł rosyjski.

W OŚWIETLENIU URZĘDOWEM.

Jeszcze z okazyi wystawy międzynarodowej w Paryżu wydana została w języku francuskim obszerna książka p. t. „La Russie au XIX siècle." Opracował ją cały szereg specyalistów pod główną redakcyą p. towarzysza ministra finansów, W. I. Kowalewskiego, a wydaniem francuskiem zajął się p. Artur Rafałowicz, agent rosyjkiego ministeryum finansów we Francyi. Dzieło to informuje czytelników europejskich o historyi powstania, składzie ludności, ustroju politycznym Cesarstwa, następnie o stanie rolnictwa i leśnictwa, przemysłu, handlu wewnętrznego i zagranicznego, wreszcie nawet o stanie oświaty, szkolnictwa, nauk i sztuk pięknych, oraz o potędze militarnej Rosyi. Jest ono bardzo pouczające pod wielu względami i zagranicą bardzo rozpowszechnione. Opierając się na dziele tem właśnie, podamy czytelnikowi niektóre dane ciekawsze, dotyczące stanu przemysłu i położenia ludności przemysłowej w różnych prowincyach państwa.

Autorowie dzieła przyjmują podział całego Cesarstwa pod względem kulturalnym i ekonomicznym na 21 wielkich okręgów; w części ogólnej pp. Semenow i Pokrowski podają najgłówniejsze dane charakterystyczne dla każdego z tych okręgów. Zanim do nich przejdziemy, zanotujmy jeszcze ogólny podział ludności podług ras i narodowości. Otóż spis z r. 1897 wykazał, jak wiadomo, $126^1/_2$ miliona mieszkańców, a razem z Finlandyą — 129 milionów; przyrost roczny wynosi 2 miliony. Z tej ludności 73% jest Słowian, a mianowicie 66%, czyli 86 milionów Rosyan, oraz 7% Polaków, których ilość w całem państwie (w r. 1897) p. Pokrowski podaje na 9 milionów. Narodowość rosyjska jest w mniejszości (pomijając azyatycką część Cesarstwa) tylko w czterech okręgach zachodnich, do których powrócimy niżej. Dalej rasa fińska ma 6 milionów przedstawicieli, czyli 5% ludności; rasa litewska 5,600,000, Turko-Tatarzy wraz z Baszkirami, Kirgizami, Jakutami—11 mil., czyli 9%, Żydzi—4 miliony (3%), Niemcy — 1 milion; Rumuni — tyleż prawie, Szwedzi — $^1/_2$ miliona.

Co do okręgów, to 1) Moskiewski, albo Górnej Wołgi, złożony z gubernij: Moskiewskiej, Włodzimierskiej, Twerskiej, Jarosławskiej, Kostromskiej Niższonowogrodzkiej i Kałuskiej, na 350,000 kilom. kwadratowych ma przeszło 11 milionów ludności, czyli 32 na kilometr, w tej liczbie tylko 3% rasy fińskiej lub tatarskiej. Wytwórczość fabryk ma wartość 640 milionów rubli: zatrudniają one 530,000 robotników.

2) Okrąg *centralny, rolniczy,* gubernie: Tulska, Riazańska, Orłowska, Tambowska, Penzeńska, Kurska i Woroneska, na przestrzeni 338,000 kil. kw. ma $14^1/_2$ miliona mieszkańców, czyli 43 na kil. kw. z domieszką fińsko-tatarską 4-procentową tylko. Produkcya przemysłowa ma wartość 130 mil. i zatrudnia 120,000 robotników.

3) W okręgu *Północnym,* do którego p. Semenow zalicza tylko gub. archangielską i wołogodzką, o przemyśle niema wcale mowy. Ludności jest 1,260,000 na tyluż kilometrach kw. procent rasy fińskiej wynosi 11.

4) Gubernia Ołoniecka wraz z Petersburską, Nowogrodzką i Pskowską stanowią okrąg *jezior,* przestrzeni 369,000 kil. kw., z ludnością pięcio milionową, czyli 14 na kilometr; 6% nierosyjskiej (fińskiej, niemieckiej), 200,000 robotników wytwarza tu w fabrykach wartość 280 mil. rubli.

5) *Finlandya,* $2^1/_2$ miliona ludności na 373,600 kil., czyli gęstość zaludnienia =7; oprócz Finów, 14% Szwedów i, jak mówi autor, „nadzwyczaj słaba przymieszka Rosyan." Autor nie podaje ludności przemysłowej; skądinąd *) wiadomo, że w r. 1898 było w Finlandyi 91,055 robotników fabrycznych i wartość ich produkcyi wynosiła 284 miliony marek, prócz tego było 31,000 rzemieślników drobnych.

6) Okrąg *nadbałtycki,* czyli gub. Inflancka, Estlandzka i Kurlandzka, ma 94,600 kil. kw. przestrzeni, a $2^1/_2$ miliona mieszkańców (36 na kil. kw.). Ludność jest mieszana: 45%, czyli 1,125,000 Estów fińskich, tyleż Łotyszów, 6% Niemców, 3% Rosyan 1% — innych narodowości: Żydów, Szwedów, Polaków. Wartość, wytwarzanych towarów, wynosi 120 milionów rubli, co zatrudnia 75,000 robotników.

7) Okrąg *białoruski,* gubernia Witebska Mohylewska, Mińska i Smoleńska, ma 6,300,000 ludności na 241,000 kil. kw. (gęstość—26). Pod względem etnograficznym, mówi autor, okrąg ten jest rosyjski, a mianowicie białoruski, tylko 15% mieszkańców jest innej narodowości, mianowicie: 7% Żydów, 4% Litwinów, 3% Polaków, 1% Niemców. Pod względem przemysłowym rozwój niewielki: 30,000 robotników, wartość produkcyi 38 milionów.

8) Okrąg *litewski,* gub. Kowieńska. Wileńska, Grodzieńska, ma 122,000 k. kw. przestrzeni, a 4,800,000 ludności, czyli 40 na k. k.; 60% ludności — to Litwini, dalej 20% Rosyan, należących do szczepu białoruskiego albo małoruskiego, 12% Polaków, 8% Żydów. W miastachześrodkowuje się 12% ludności. Robotników przemysłowych jest 34,000, wytwór ich ma wartość 34 mil.

9) Okrąg *nadwiślański* obejmuje całe Królestwo Polskie, czyli 128,000 k. kw., a na nich $9^1/_2$ mil. ludności, czyli gęstość 74 na k. k., największa w całem państwie. Podział ludności podany jest jak następuje: 70% Polaków, 13% Żydów, 11% Rosyan, 3% Litwinów, 3% Niemców. W miastach ześrodkowuje się 20% ludności, co stanowi również największy procent w całem państwie (po okręgu nadbałtyckim, gdzie ludność miejska wynosi 25%; w moskiewskim 17%). Robotników fabrycznych mamy tu 240,000, a wartość wytworów fabrycznych wynosi 380 mil. rb. Rzemieślnicy tu, zarówno jak w innych okręgach, nie są policzeni i nie zawierają się w cyfrach powyższych.

10) W okręgu *południowo-zachodnim,* albo „Małorosyi przeddnieprzańskiej" (gub. Wołyńska, Podolska, Kijowska) mieszka 80% ludności rosyjskiej, mianowicie małorosyjskiej), 12% Żydów, 7% Polaków, nieco Litwinów, Rumunów i Niemców, razem 9,600,000 ludności na 165,000 k. k., czyli 58 na k. k. Ludność miejska wynosi 10%. Robotników przemysłowych liczy ten kraj 85,000, wartość produkcyi wynosi 126 milionów.

11) Gub. Połtawska, Czernichowska i Charkowska stanowią *Małorosyę zadnieprzańską,* zupełnie czystą pod względem etnograficznym; liczy ona 7,600,000 mieszk. na 156,800 k. k., czyli gęstość 46. Ludność miejska 11%; robotników 44,000, wytwarzających towarów na 80 mil. rb.

12) Okrąg *nowo-rosyjski* obejmuje całą równinę południową: gub. Besarabską, Chersońską, Jekaterynosławską, Stawropolską, Krym, kraj Dońców, czyli 477,000 k. k. Tu na 11,700,000 mieszk. (gęstość 24) jest 87% ludności wielko- i małorosyjskiej, 7% Rumunów (w Besarabii), 2% Żydów,

*) K. E. Palmén: *Aperçu de l'activité industrielle de la Finlande.*

1% Tatarów, 1% Niemców, wreszcie 2% Bułgarów, Greków, Ormian, Kałmuków. Leży tu zagłębie węglowe donieckie, stąd wielka ilość robotników — 150,000, i wartość wytworu — 260 mil. W miastach zeŝrodkowuje się 16% ludności.

13) Okrąg *nadwołżański* składa się z g. Kazańskiej, Simbirskiej, Saratowskiej, Samarskiej i Astrachańskiej, ogółem 58,500 k. kw. (co już stanowi, mówi autor, przestrzeń większą od całej Francyi). Mieszkańców 17 na k. kw., czyli 10 milionów, z tych 75% Rosyan, 4½% Niemców-kolonistów, 2½% Kirgizów, reszta — 15% — Czuwasze i Mordwa. Kraj to przeważnie rolniczy; ludność miejska stanowi 8%, 50,000 robotników wytwarza wartość 100 mil. rb.

14) Okrąg *uralski* ma też 10 mil. ludności, ale na przestrzeni 800,000 k. kw., czyli 12 na 1 k. k.; w tej liczbie 80% Rosyan, 10% Baszkirów, 2½% Tatarów, reszta — rasa fińska. W miastach tylko 5% ludności, jednak robotników fabrycznych i kopalnianych jest tu aż 200,000, a wartość ich wytworów dochodzi do 140 mil. rb.

15) Na *Kaukazie* 25% ludności stanowią Rosyanie, tyleż górale miejscowi różnych plemion, po połowie — Gruzini i Ormianie, jest też 1% Persów. Ogólnej ilości robotników nie znajdujemy; w samych kopalniach nafty pracuje ich 21,000, z których 20% Persów, reszta — Rosyanie.

Co do sześciu okręgów azyatyckich, to znajdujemy wskazówki następujące: w Turkestanie 80% ludności (Turkomani i Kirgizi) należy do rasy tureckiej, 10% — do irańskiej, 4% jest Rosyan. W stepach kirgizkich 80% stanowią Kirgizi, reszta — to kozacy rosyjscy. W Syberyi Zachodniej Rosyanie stanowią 94%, w Syberyi Środkowej — 90% (reszta przeważnie Buryaci); w okręgu Amurskim także ludność rosyjska wynosi już 75%; tylko Syberya Wschodnia liczy 90% Jakutów, a Rosyan — 7%.

Wracając do ludności przemysłowej, robotniczej, p. E. Dementjew podaje ogólną ilość robotników fabrycz. w całem państwie, wraz z prowincyami azyatyckiemi, z wyjątkiem Finlandyi, 2,100,000, co stanowi 1,7% ogółu ludności. Sądzę, że ciekawe będzie obliczenie tegoż stosunku procentowego dla każdego z powyższych okręgów osobno; przyczem jednak, ze względu na wielkie różnice w przestrzeni, a więc i w gęstości zaludnienia, nie możemy poprzestać na tej jednej cyfrze tylko, wyrażającej ilość robotników na 100 mieszkańców. Jeżeli chcemy mieć właściwe pojęcie o znaczeniu tego stosunku, to musimy wprowadzić cyfrę drugą, którąby odzwierciedlała zeŝrodkowanie ludności robotniczej, a więc np. gęstość tej ludności, czyli ilość robotników, przypadająca na każde 100 kilometrów kw. kraju. Wówczas otrzymamy tablicę następującą:

Okręg	Ilość robotników *) na 100 m.	na 100 kil. k.
Jezior (z Petersburgiem)	4	54**
Moskiewski	4,8	151
Nadwołże	1/2	85
Ural	2	25
Białoruski	1/2	12
Litewski	3/4	28
Królestwo Polskie	2 1/2	188
Nadbałtycki	3	79
Finlandya	3 1/2	24***)
Południowo-Zachodni	0,9	52
Zadnieprze	0,6	28
Noworosyjski	1,3	31

Jak widzimy, Królestwo Polskie pod względem procentu ludności fabrycznej ustępuje okręgom: moskiewskiemu, petersburskiemu i nadbałtyckiemu, ale pod względem zeŝrodkowania tej ludności o wiele przewyższa wszystkie.

*) Bez rodzin.

**) Cyfra ta byłaby prawie podwójną, gdyby odjąć gub. Ołoniecką.

***) Tu także należy pamiętać, że 76% robotników koncentruje się w czterech tylko południowych guberniach. (Ob. nr. 49 *Prawdy* z r. 1900).

Następnie ważny jest podział robotników podług gałęzi przemysłu, mianowicie: tkactwo i przędzalnictwo 642,520, górnictwo i hutnictwo 544,333, artykuły spożywcze 255,357, metalurgia 214,311, przemysł ceramiczny 143,291, przemysł drzewny 86,273, przemysł materyałów zwierzęcych (skóry itd.) 64,418, papiernie 46,190. fabryki chemiczne 35,320, różne inne 66,249.

Dzieło omawiane nie podaje podziału robotników każdej gałęzi pomiędzy okręgi i kraje *), nie podaje również ilości pracowników, zatrudnionych w handlu. Natomiast podaje jeszcze ogólną ilość przedsiebiorstw handlowych w państwie; jest ich mianowicie 138,272, płacących gildyę, i te mają obrotu 9 miliardów rb., dalej 260,298 niepłacących gildyi, z obrotem ogólnym 832 milionów, wreszcie 940 przedsiebiorstw akcyjnych, zobowiązanych do ogłaszania bilansu, z obrotem przeszło 10 miliardów. Z ogólnej sumy około 400,000 większych przedsiebiorstw handlowych z obrotem 20 miliardowym, na dwie gubernie tylko, Warszawską i Piotrkowską, przypada 20,460 z obrotem 2,270 mil. rb.

K. Kr.

*) Wiemy tylko, że na 238,000 koni parowych, którymi rozporządza przemysł górniczo-hutniczy w państwie (cyfra przypuszczalnie mniejsza od rzeczywistej), 35,000 przypada na Królestwo Polskie.

KŁOSKI.

Jak wiadomo, Galicya nie ma przemysłu. Ze wszystkich bowiem jego gałęzi bujnie rozwija się w niej tylko fabrykacya tytułów. Na całym świecie p. Tchórznicki nazywałby się p. Tchórznickim, tam w mowie i druku nikt nie wyrazi się inaczej, tylko „ekscelencya Tchórznicki.“ Wszędzie tytoń nazywa się tytoniem, tam — „c. k. tytoniem.“ Wszystkie te klejnoty, jakkolwiek bardzo piękne, nie zastąpią nawet naszego perkalu, którego dalcko więcej ludzi potrzebuje, niż tytułów. Bez perkalu własnego jednak Galicya obywa się, ale ma ona w łonie swej ziemi niespokojną siłę, która się targa, burzy i zmusza ją do przemysłu. Siłą tą jest nafta. Ten wielki zdrój, który wszędzie stał się źródłem bogactw, w Galicyi służy dotyczas za topiel dla śmiałków. Ilu ich w nim utonęło, od Wisnowskiego do Szczepanowskiego, trudno policzyć. W ostatnich czasach kopalnie ropy ziemnej związały się umową (kartelem) dla utrzymania cen na pewnym poziomie. Jak zwykle na falach Lechii, jeden ze sterników skręcił w bok i osadził cały okręt na mieliźnie. Powstał krzyk i zaczęto spuszczać łodzie ratunkowe. I byłaby cała załoga pogrążyła się w najstraszniejszej rozpaczy, a może samobójstwem skróciła swoje męczarnie, gdyby... Heine twierdzi, że największą rewolucyę w Niemczech uspokoił Drake kartoflami. Na Lechitów tak cudownie działa sztuka. Krzyknąć umarłemu do trumny: „nieboszczyku, wstawaj, Kochańska przyjechała!“ — odwaliłby wieko, zerwał się na równe nogi i pobiegł do kasy. Otóż w chwili, gdy przedsiebiorstwa naftowe w Galicyi znalazły się nad przepaścią, gdy największa cukrownia (w Przeworsku) zamknęła rachunki niedoborem, wystąpił z koncertem we Lwowie 9-letni Miecio Horszowski, potem przyjechała Modrzejewska, ma przybyć Barcewicz, jednocześnie urządzono wystawę obrazów... O Boże, czyż wobec tylu rozkoszy można mówić o przesileniu w przemyśle? A gdyby to widmo znowu się pojawiło, nie zbraknie w Galicyi demokratów, którzy poradzą je odpędzić zapaleniem lampki naftowej w każdej chałupie wiejskiej, i arystokratów, którzy w tej radzie dostrzegą „zakusy hajdamackie.“

* * *

Więc totalizator — według *Warsz. Dziewnika* — już nietylko wyzyskuje, ale oszukuje, mianując zwycięzcami nie te konie, które pierwsze przybyły do mety. W całej prasie odezwały się bolesne jęki i rzucone ku chmurom pytanie: czyż niema środka? Owszem, jest. Wszystkim, którzy, skarżąc się na końską ruletkę, ciągle w nią grają, tym, którzy przegrawszy, z Cycerońskim gestem wołają: *quousque tandem... abutere patientia nostra?*, tym, którzy pragną „reformować“ wszelki hazard aż do podrzucania woreczka (wyłącznie) — radzimy: nie drażnijcie totalizatora. Dzięki waszym krzykom uwierzył on, że niedługo ustąpi z pola swej chwały i stał się strasznym, jak każdy „djabeł na wylocie.“ Pogódźcie się z nim, ogłoście, że jest najpożyteczniejszą instytucyą społeczną i że sprawiedliwiej rozdziela nagrody, niż fundacya Montyona, a przekonacie się, że nie będzie szachrował, a nawet może przed każdym wyścigiem doniesie, którego konia „obstawili“ reporterzy. I ten wygra. A trzeba się zabezpieczyć, bo oto słychać, że mają być urządzone w Warszawie wyścigi kłusaków, koni rosyjskich, szybkonogich, ale — według opinii organu sportowego — niezdatnych ani do pracy, ani do krzyżowania z tutejszą rasą użytkową. Ten więc zamiar „podniesienia krajowej hodowli koni“ jest wyłącznie obliczony na totalizatora, który dziś „przerabia“ w swych kasach około 4 milionów rubli rocznie, a potem będzie obracał podwójną sumą. Co za rozkoszna przyszłość! Niedługo pole Mokotowskie odbierze klubowi w Monte Carlo najlepszych śpiewaków, wirtuozów, szachistów i inne ozdoby. I to sprawimy my, my...

* * *

Pani W. Żeleńska dla uczczenia pamięci N. Żmichowskiej proponuje (w *Bluszczu*) założenie pierwszego Towarzystwa pomocy naukowej dla kobiet. Jak to się czasy zmieniły i jak dzisiejsi konserwatyści powinni ucałować ręce dawnych postępowców za to, co ci napisali o podniesieniu umysłowem kobiety, a co przed 30 laty było rzetelnie oplute. Dziś *Bluszcz* ubolewa nad niedolą dziewcząt, garnących się do wiedzy, do wyższych zakładów naukowych. A przecież on to kiedyś nazwał „wynaturzaniem się“! Tak, młode, biedne kobiety, pragnące oddać się studyom naukowym, powinny mieć zorganizowaną pomoc materyalną, zmniejszone brzemię głodu i niedostatku, złagodzoną walkę o byt. Powinny one chociaż w części korzystać z tego współczucia i ofiarności, jaka wyrównywa ciężką drogę życia niezamożnej młodzieży męzkiej.

A tymczasem trzeba wiedzieć, że Towarzystwo pomocy naukowej dla kobiet istnieje już od lat piętnastu. Nie założono go wprawdzie pod wezwaniem Gabryeli i nie nazwano towarzystwem, lecz stowarzyszeniem, ale po za temi różnicami formalnemi chęci p. Wandy Żeleńskiej są już spełnione.

Stowarzyszenie liczy 84 członków zwyczajnych oraz 6 członków założycieli; ogólny stan kasy w r. 1901 wykazuje w przychodzie sumę 13,208 koron; na zapomogi, pożyczki stypendyalne Stow. wydało 20,000 koron; jego ogniskiem jest Kraków. W temże mieście mieszka p. Wanda Żeleńska, ale ona nic a nic nie wie o *Stowarzyszeniu pomocy naukowej dla Polek* im. Kraszewskiego, nie wie o niem również redaktor *Bluszczu*, p. Maryan Gawalewicz i w zgodnej niewiadomości odkrywają ci państwo Amerykę.

Prócz tego pani W. Ż. nazywa „Bluszcz“ *naturalnym opiekunem niewiast polskich!*

Gdyby takie zdanie wygłosił cudzoziemiec, możnaby przypuścić, że poprostu nie rozumie znaczenia wyrazów, których używa. Ależ, o pani! Istnieje jeszcze drugi, starszy „opiekun“: *Tygodnik mód i powieści*, oraz *simplicissima* — *Dobra gospodyni*, która między innymi przepisami zaleca jako lekarstwo na cholerę proszek moczony w spirytusie.

Widzimy więc, jak Towarzystwo pomocy naukowej jest potrzebne nawet rzekomym opiekunom niewiast polskich.

* * *

Jedząc zupę w restauracyi, mniej obawiaj się, czytelniku, ażebyś w niej nie znalazł włosa lub robaka, niż żebyś nie znalazł reklamy dla pp. Rajchmana lub Śliwińskiego. Miłosierdzia, panowie „wzmiankarze“ — tego miłosierdzia, które ludzkości okazał sprzedawca pigułek Guyota, wycofawszy je z ogłoszeń! Już wiemy, wiemy, że dyrektor Filharmonii jest godniejszym podziwu, niż biały słoń Barnuma, że laury reżysera teatru nie dają spokojnie spać w grobie Laubemu. Zresztą jeśli wam nie chodzi o naszą cierpliwość, to szanujcie własne gardziołka, ochrypłe od krzyku reklamowego. Nawet już chłopcy, wskakujący do tramwaju z gazetami, zaczynają z was żartować. Jeden z nich wołał: „jubileusz Filharmonii bardzo ciekawy!“ I prawda, że ciekawy. Przed kilku dniami Filharmonia obchodziła uroczyście (z nabożeństwem) pamiątkę swego istnienia... rocznego. No, nie było chyba tak rozkochanych rodziców, którzyby równie uświęcili dzień przyjścia na świat jednorocznego niemowlęcia.

* * *

Warszawa ma Towarzystwo artystyczne z ustawą, zarządem, komisyami, a niedługo może z własnym domem. Na ostatniem posiedzeniu obradowano nad ustanowieniem agenta, którzyby wynajdywał obstalunki i nad dopuszczeniem do grona członków każdego „pracującego na niwie sztuki.“ Oba te wnioski byłyby bardzo właściwe na porządku dziennym w tydzień po zawiązaniu się Towarzystwa. Ale po kilku latach istnienia wyglądają jak przerwa w drzemce. Szanowne żółwie, bądźcie Achillesami. Jedziecie z szybkością dziesięciu metrów na rok, a powinniście jechać z szybkością 50,000 m. na godzinę. Macie instytucyę, macie uprawniony organ działania, macie duży zastęp ludzi młodych i zamiast ogarnąć szerokie koło zadań i znajdować się w ruchu czynnym, medytujecie dopiero nad sprawieniem sobie takiego jegomości, który wam szukać będzie tych zadań w praktyce. Jakiż to marsz *andante*.

* * *

Jak śpiewa p. Luce?

Kuryer Warszawski, nr. 302: „Jak druga Minerwa, która wyskoczyła z głowy Jowisza gotowa już, uzbrojona od stóp do głów, równie i p. Luce okazała się najniespodziewanicj nie początkującą debiutantką, nieśmiałe kroki stawiającą na scenie po raz pierwszy w swem życiu, lecz poprostu śpiewaczką prawie skończoną, artystką na miarę takich Fidyaszów w spódnicy, jak Pacini lub Tetrazimi, a może na większą nawet.

Jeżeli bowiem idzie o materyał głosowy, to p. Luce ma go więcej od obu wyżej wymienionych śpiewaczek, bo gdy rozmiary ich skali głosu sięgały do wyjątkowego w głosach sopranowych dźwięku trzykreślnego górnego F, skala p. Luce sięga o cały ton jeszcze wyżej, ponad ten dźwięk wyjątkowy, aż do czterokreślnego G... Takim dźwiękiem jedna tylko Kochańska pochwaliła się na scenie naszej (w „Łucyi“), prócz niej żadna ze śpiewaczek naszych i obcych.“

Wędrowiec, nr. 45: „Młoda debiutantka posiada wprawdzie głos, a właściwie głosik sopranowy, miły w brzmieniu, szeroki w skali, podatny do koloratury, ale materyał to tak nikły, że zaledwie mógł się uporać z dyskretnym akompaniamentem orkiestry. Natomiast we wszystkich scenach zbiorowych ginął najzupełniej. Przy takich warunkach całość występu musiała wypaść blado i przejść bez wrażenia, pomimo że p. Luce obraca się na scenie dość swobodnie.

Gdyby p. Luce popracowała nad należytem postawieniem swego głosu, gdyby wyrównała koloraturę, która dziś składa się z szeregu dźwięków różnego gatunku, atakowanych na los szczęścia, z wysiłkiem widocznym na twarzy; gdyby starała się opanować tony najwyższe, będące dziś raczej krzykiem, niż śpiewem — wówczas mogłaby z pewnem powodzeniem występować na estradach koncertowych, ale nigdy w operach.“

PRASA ROSYJSKA

— Znany działacz klerykalny, p. Józef Mycielski, ogłosił w *Kuryerze Poznańskim* list p. t. „O naszych stosunkach z Rosyą,“ który *St. Pet. Wied.* przedrukowały w całości, bez żadnych ze swej strony uwag. Podajemy tu niektóre wyjątki:

„Narody polski i rosyjski łączy wspólność, a przynajmniej pokrewieństwo pochodzenia, zarówno jak wspólność warunków ekonomicznych, dzielą zaś — wspomnienia historyczne i dzisiejsze stosunki państwowe; nie mówię o różnym stopniu cywilizacyi, który względnie szybko się wyrównywa, nie mówię i o różnicy wyznania, bo jeżeli między kościołem katolickim a herezyą luterską istnieje przepaść, wyłączająca zgodę na zawsze, to pogodzenie się kościoła wschodniego z rzymskim jest tylko kwestyą czasu i sprzyjających okoliczności. O politycznej stronie sprawy nie mam zamiaru się rozpisywać, ponieważ każda polityka z natury rzeczy jest zmienną i musi być taką ze zmianą warunków i okoliczności... Zwracam głównie uwagę na dwie okoliczności: my ciągle mówimy o krzywdach, które nam wyrządzili Rosyanie, zapominamy zato o ciężkich grzechach, jakich dopuściliśmy się względem narodu rosyjskiego. My pierwsi, zamiast obrony granic zachodnich od najazdu germańskiego, podbiliśmy Ruś (zachodnią i południową), która, bądź co bądź, pozostaje w bliższym stosunku do Rosyi, niż do Polski; spolszczyliśmy szlachtę ruską i uciskali naród ruski; zawojowaliśmy Moskwę i na tron carski wprowadziliśmy królewiczów i samozwańców; wszystko to czyniliśmy przedtem, zanim noga rosyjska stanęła na ziemi polskiej. Podczas pierwszego rozbioru nasi magnaci sami przywołali wojska rosyjskie, niby dla obrony swobód, w istocie zaś dla obrony swojej swawoli, i sejm polski ustąpił części pierwotnie rosyjskiej ziemi... Niech mi nikt nie zarzuca zdrady tradycyi ojców i dziadów i zapomnienia mąk, wycierpianych przez nas. Nie, ja czczę pamięć przodków i biję czołem przed ich bohaterstwem, mam pogardę dla wszelkiego hakatyzmu, jednakże nie mogę sądzić jednostronnie przeszłości historycznej. Rządy Rosyi od Piotra Wielkiego były przeważnie w rękach Niemców; ci to nieprzejednani wrogowie Słowiaństwa odpowiedzialni są za wszelkie męki, któremi nas Bóg ukarał... Rosya spała długo, jednakże budzi się z letargu; niema wątpliwości, że nastał moment odrodzenia związku trzech braci: Lecha, Czecha i Rusa.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Petersburgu rozpoczęła posiedzenia specyalna komisya, mająca na celu obmyślenie sposobów i środków materyalnego zabezpieczenia na starość wszystkich pracujących; głównie zaś robotników. Po przedstawieniu wniosków co do sposobu ubezpieczenia pracowników, wnoszenia składek, wypłaty emerytur i ich wysokości, p. Janżuł dowodził, że sprawa ta jest za szeroką i trudna na razie do wykonania, gdyż idzie tu o cały systemat prawa socyalnego, na co jest jeszcze zbyt wcześnie, że koniecznem jest w tym razie pewne stopniowanie, ułożenie się warunków życiowych, usiłowania ze strony prawodawstwa i osób pojedynczych. Należy zaczynać od rzeczy najłatwiejszych: od ubezpieczenia robotników na wypadek choroby, następnie od nieszczęśliwych wypadków, zabezpieczanie zaś starości możliwem jest dopiero w czasie niezbyt bliskim Tegoż samego zdania był p. Litwinow-Faliński, który radzi też rozpoczynać sprawę od zabezpieczenia na wypadek choroby, czego przykłady spotkać już można w Królestwie Polskiem. Przeciwnie dowodził p. Nobel i inni uczestnicy obrad. Przemawiano też przeciw zwaleniu całego ciężaru składek ubezpieczeniowych na przedsiebiorców, którzy temu nie podołają i co niekorzystnie odbićby się mogło na ogólnym stanie spraw ekonomicznych.

— Towarzystwo dziennikarzy w Gotha wniosło protest, z żądaniem wniesienia go pod obrady parlamentu, przeciwko ohydnemu postępkowi policyi pruskiej, która redaktora *Górnoślązaka*, p. Hoffmana, prowadziła skutego w kajdany ze zbrodniarzami do więzienia.

— Zmarły w Petersburgu antykwaryusz, Leon Liniewicz, przekazał testamentem katolickiemu Tow. dobroczynności długoterminowy dochód ze składów na towary, wynoszący rocznie 50,000 rb.

— Rząd węgierski podał w parlamencie wniosek o wydanie ograniczeń przeciw imigracyi Żydów z Galicyi i Rumunii.

— *Gaz. Pol.* donosi, iż zarząd warszawskich zakładów gazowych otrzymał od głównego zarządu Towarzystwa w Dessau rozporządzenie, aby na posady inkasentów oraz do biur nie przyjmowano kandydatów, którzy nie władają językiem niemieckim.

Z Poznańskiego. Sąd w Berlinie skazał na zapłacenie 10,000 marek kary konwencyonalnej p. Stefana Sterna, który, nabywszy dobra Wielkie Jałty od Landbanku, wbrew zobowiązaniu odprzedał ten majątek Polakowi, p. Śląskiemu z Orłowa. P. Stern zaprzeczył temu i zażądał od Landbanku dowodu, że p. Śląski w myśl prawa niemieckiego jest Polakiem.

— Według doniesienia *Dziennika Berlińskiego*, statut fundacyi Biblioteki Raczyńskich został już zmieniony. Dr. Collmann potwierdzony został jako bibliotekarz i sprawa za kilka dni będzie jawną. „Dążą do tego, aby nawet napis: „Biblioteka Raczyńskich“ usunąć z frontu gmachu.“

— Teatr niemiecki w Poznaniu ma otrzymać nazwę „nadworny.“

Szkoły i wychowanie. W r. b. odbędzie się w Warszawie zjazd nauczycieli fizyki i matematyki z okręgu warszawskiego.

— Uczniowie szkół realnych, zdający egzamin z łaciny w zakresie 4 klas gimnazyalnych, w celu wstąpienia do Cesarskiej Akademii wojennej, na mocy rozporządzenia ministeryum oświaty, nie podlegają opłacie na rzecz egzaminujących.

— Departament oświaty zawiadomił kuratora okręgu naukowego warsz., że chociaż rozporządzenie o zajmowaniu przez kobiety posad języków nowożytnych w rządowych zakładach naukowych męzkich, średnich nie stosuje się do szkół prywatnych, jednak wobec tego, że przepisy nie wzbraniają kobietom wykładania języków nowożytnych w niższych klasach prywatnych szkół męzkich, zdaniem departamentu, kobiety mogą zajmować te stanowiska, jeśli posiadają odpowiedni stopień wykształcenia.

— Osoby posiadające świadectwa na ochotnika 2-go rzędu i chcące poddać się egzaminowi na stopień ucznia aptekarskiego, otrzymały prawo wyboru jednego z języków nowożytnych, niemieckiego lub francuskiego. Przy zdawaniu na stopień ochotnika 2-go rzę-

du kandydaci po zdaniu z algebry podlegają dodatkowemu egzaminowi z geometryi — i odwrotnie.

Ruch kobiecy. Grupa przedstawicielek znacznych firm kupieckich w Petersburgu rozpoczęła starania w ministeryum skarbu o dopuszczenie ich na giełdę papierów państwowych (*Kur. War.*)

Z muzyki. Mieliśmy w zeszły piątek, d. 8 b. m. pierwszy wielki koncert symfoniczny samych znakomitości w Filharmonii. Znakomity dyrektor, p. Młynarski, dyrygował orkiestrą aż dwa razy: podczas wykonania „Symfonii pasterskiej" (F—dur) Beethovena i poematu symfonicznego Saint-Saënsa „Młodość Herkulesa." Znakomita primadonna Opery paryskiej, pani Marya Héglon, pozwoliła słuchaczom zachwycać się swym podstarzałym głosem i podziwiać dystynkcyę swej „imponującej postaci," zaś młodziutki p. Józef Hofman, nasza przyszła, a jak niektórzy chcą, już teraźniejsza znakomitość, zdumiewał sprawnością swych palców, ogromną techniką i... brakiem zapału młodości.

Ze sztuki. Z końcem miesiąca bieżącego otworzoną będzie w Salonie Krywulta wystawa jednobarwna ilustratorów i rysowników polskich. Za pracę najlepszą *Tygodnik ilustr.* przeznacza 100 rb. z prawem wyłącznego jej reprodukowania.

— D. 5 b. m. otworzono w Wiedniu wystawę secesyi, na której dział polski zajmuje wybitne miejsce.

Wiadomości naukowe. Powstał projekt utworzenia w Warszawie Towarzystwa udziałowego, które zbudować ma gmach z przeznaczeniem na widowiska w zakresie popularno-naukowym, odczyty, wystawy itp.

— Na dochód warsz. Tow. dobr. odbędzie się szereg odczytów w Muzeum przemysłu i rolnictwa. Rozpoczął je dr. J. Brudziński wykładem „O psychologii dziecka."

Zdrowie publiczne. Zjazd gubernialnych inspektorów lekarskich Królestwa Polskiego odbędzie się w Warszawie d. 23 b. m. Celem zjazdu ma być ujednostajnienie organizacyi pomocy lekarskiej dla ludności wiejskiej.

Koleje i komunikacye. Po wprowadzeniu ruchu prawidłowego na kolei Kowelsko-Kijowskiej, osoby, jadące z Kijowa przez Brześć do Warszawy i odwrotnie, mogą wybierać dwa kierunki podróży: Kijów-Kazatin-Kowel lub Kijów-Sarny-Kowel. Ponieważ kierunek ostatni jest znacznie krótszy i tańszy, przeto powstała obawa, iż z chwilą włączenia linii Kowelsko-Kijowskiej do bezpośredniej komunikacyi kolei rosyjskich, cały ruch osobowy w tym kierunku przeniesie się na nową linię. Chcąc temu zapobiedz, koleje południowo-zachodnie zwróciły się do ministeryum z prośbą o takie normowanie taryfy, aby nowa linia nie współzawodniczyła z linią główną. Prośbie tej jednak — jak donoszą pisma kijowskie — ministeryum odmówiło.

Sprawy ekonomiczne. Ukazały się w Galicyi ołówki z napisem „Polski ołówek szkolny," pochodzące z niemieckiej fabryki w Norymberdze.

— Zatwierdzone zostały ustawy Towarzystw kredytowych w Przasnyszu i Lipnie. Instytucye te działać będą przy pomocy Banku państwa.

Katastrofy. Silne trzęsienie ziemi nawiedziło Amoreirę w Portugalii. Pod gruzami zawalonych domów zginęło mnóstwa ludzi.

— D. 4 b. m. wieczorem w Nowym-Yorku, na Madison-Square, około 30,000 osób oczekiwało na wynik wyborów. W celu uczczenia swego wyboru oraz zwycięztwa stronnictwa demokratycznego, redaktor dziennika *New-York Times*, Hearst, przygotował 20 moździerzy nabitych bombami; jeden z nich podczas zapalania przewrócił się, a bomba wpadła między publiczność i wybuchła. Wskutek wstrząśnienia eksplodowały inne moździerze, wywołując katastrofę, której ofiarą padło kilkanaście osób, kilkadziesiąt zaś odniosło rany. Mimowolny sprawca katastrofy złożył na rzecz ofiar milion dolarów.

Zmarli. Władysław Zaremba, w Kijowie, pedagog i kompozytor muzyczny.

— Mary Williams, Angielka, w Poznaniu; wśród społeczeństwa polskiego zajmowała się dolą samotnych pracownic, dla których zorganizowała ochrony pod nazwą „Świętej Jadwigi," w Krakowie, Poznaniu i Warszawie.

— Eugeniusz Muentz, Alzatczyk, w Paryżu; historyk sztuki, konserwator biblioteki, archiwów i muzeum szkoły sztuk pięknych.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Helenie Eymontt w Petersburgu. Bajki nie dla nas.

Pani Z. R. w Tarnopolu. Taki podręcznik do nauki języka polskiego nie istnieje wcale. Co do drugiego życzenia, najlepsze wskazówki we wszystkich kierunkach znajdzie Pani w „Podręczniku dla samouków," którego dotąd wyszło już 4 tomy w Warszawie. Każda księgarnia dostarczy.

Panu R. L. Wierszy „O pieśni braterstwa" nie wydrukujemy.

Panu C. Z. Nie skorzystamy.

Chrześcianinowi, autorowi „Ojcobójcy," życzymy odrobinę samokrytyki.

OFIARY.

— Zamiast wieńca na trumnę H. Forsztetera przysłali z Sieprawek na wpisy: E. 5 rb., M. 3 rb., H. W. 1 rb., M. 1 rb.

— Na nędzę wyjątkową A. Malińska w Petersburgu 2 rb. 30 kop.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 31 Октября 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.